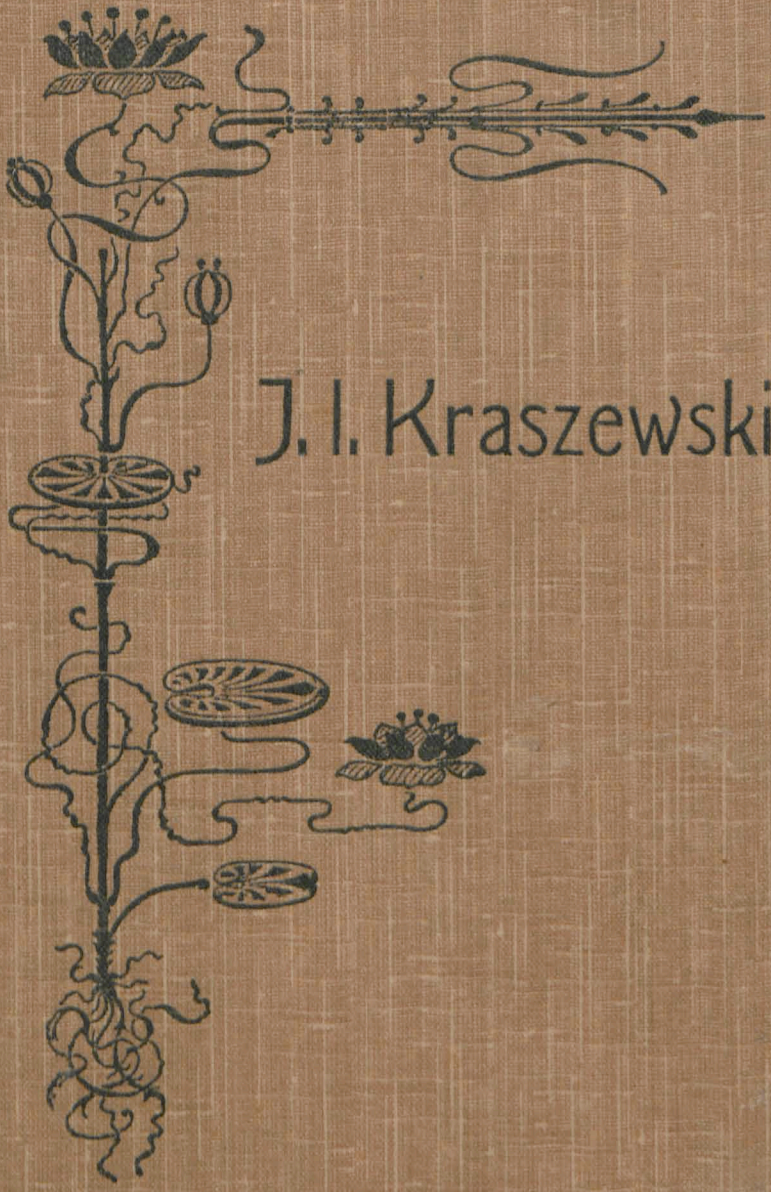

J. I. Kraszewski

DWIE KRÓLOWE.

D. E. FRIEDLEIN
KSIĘGARNIA
W KRAKOWIE.

53

Druk P. Laskauera & W. Babickiego, Ś-to-Krzyzka № 11.

DWIE KRÓLOWE

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

(Bona i Elżbieta).

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

Kraszewski

Tom I.

WARSZAWA.
Nakładem Michała Glücksberga.

1898.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 1 Декабря 1897 года.

Muzeum J. I. Kraszewskiego w Dreznie
Hc/M/ 299

Drogim cieniom

ALEKSANDRA Hr. PRZEZDZIECKIEGO,

którego poszukiwania opowiadaniu temu dostarczyły treści,

poświęca je

Autor.

Drezno 27 stycznia 1884.

Wieczór jesienny ciepły był jeszcze, ale w powietrzu czuć się dawała ta woń, która każdą porę roku odznacza. Lekki wietrzyk od Wisły i łąk a pól, od dalszych lasów i zarośli przynosił wyziewy liści więdnących, usychających traw, kiełkujących zbóż zasianych, które żywo wśród pożółkłych ścierni się zieleniły, i mgły niewidocznej jesieni. Niebo złociło się, rumieniło, barwiło sinemi i liliowemi obłokami, z pod których blady, zielonawy lazur północy przeglądał. Z dali żaden głos nie dochodził, nie widać było na błoniach ruchu i życia. Jak mrówki przesuwały się tylko gdzieniegdzie trudne do rozpoznania postacie na płowych ścieżkach i gościńcach, które pola i łąki krzywemi przerzynały paskami.

Cisza wieczoru i jesieni kołysała świat Boży do spoczynku...

W otwartem oknie krakowskiego zamku na pierwszem piętrze, siedziało przepiękne dziewczę.

Odbłysk wieczornego światła, cudownie, lice jej łagodnym swym blaskiem oblewał. Siedziała jakby na wzór służyć miała do obrazu Luiniemu, Bellinowi, jednemu z tych mistrzów włoskich, którzy ostatnie ideały niewieście, jakby żegnając się z niemi, na płótno przenieśli.

Twarzyczka dziwnie regularnych rysów, świeża acz blada, przypominała też Kameę ręką mistrza na kamieniu drogim wyrzeźbioną.

Smutek i tęsknota poetyczny wyraz nadawały temu obliczu madonny.

Patrzała przez okno na dalekie błonia, lecz pewnie nie widziała nic, oprócz tego, co się na tle ciemnem jej duszy malowało. Przechodziły po niem jakieś cienie przeszłości czy nadziei.

Nieruchome oczy czarne pływały jakby we łzie, która napełniała powiekę i upaść z niej nie mogła, tak jak tęsknica jej z duszy się na świat wydobyć.

Była to piękność niezwyczajna. Klasycznego wdzięku, rysy marmurowe, śmiałemi ale łagodnemi razem liniami wyrzeźbione, otaczał bujny włos, spleciony w części i na ramiona w puklach puszczony, tej barwy osobliwej, którą weneccy upodobali malarze. Ciemne brwi, czarne oczy, odbijały dziwnie od warkoczów złocistych, jaskrawych nawet, tak barwa ich była silną. Maleńkie usteczka, ściśnięte teraz, bolesnym się zamykały uśmiechem i zdawały się wyrzucać zawód losowi i światu, przeznaczeniu i ludziom.

Jakby stężała tym bólem, siedziała nieporuszona, ręce spuściwszy na kolana. Wypadła z nich dawno robota, haft kolorowy na jedwabiu, leżała razem z kłębuszkiem u nóg jej, we wgłębieniu okna, które w grubym murze siedziało, oprawne jakby w ramę maleńką wykutą w nim izdebką.

Strój dziewczęcia był smakowny bardzo i wytworny. Suknia z ciężkiej jedwabnej tkaniny mieniąca się zielono i płowo, cała była naszywana wstęgami, jedwabnemi sznury, kokardami i paciorkami szklannemi. Odpowiadał jej bogato ozdobny pas wysadzany z torebką, a trzewiczek, którego koniec z pod sukni wystawał, także był do całego stroju dobrany.

Komnatka oknem tem słabo oświecona, nie zbyt przestronna, sklepiona wdzięcznie w górze, malowana i złocona, pomimo pomroku jaki w niej panował, miała

w sobie coś młodego i wesołego, jakby na szczęśliwe gniazdo przeznaczoną była.

Smutna twarz na jej tle wydawała się dziwnie.

Wszystko, co w tym wieku XVI, lubującym się w wytworności, woni, kolorach, przepychu, nagromadzić było można, aby jak cacko przyozdobić mieszkanie pieszczoszki-dziewczęcia, złożyło się na ubranie pokoiku.

Posadzkę marmurową, której tylko u progu domyślać się było można, okrywał wschodni kobierzec, przedziwnej harmonii farb, najśmielej pożenionych z sobą... marmurowy komin zdobiły dwie karjatydy niewieście, uśmiechające się mimo ciężaru gzemsu, który dźwigały. Opasywały je wieńce kwiatów i liści z wielkim kunsztem rzucone. Po nad niemi wisiało weneckie zwierciadło w ramach jak brylanty połyskujących z ozdób szklannych, a na gzemsie stały cudne fraszki ze szkła, majoliki, złota i srebra wyrzeźbione.

W jednym z naczyń wiądł bukiet kwiatów jesiennych.

Przy jednej ze ścian stały siedzenia z drzewa, misternie rzeźbionego, na których biegały jakby nici złociste. Stół okryty lekkim kobiercem, cały prawie zarzucony był też fraszkami, które kształtami swemi pociągały oczy. Stały na nim skrzyneczki sadzone na hebanie, kością słoniową, bursztynem i złotem, puszki form wykwintnych, na których pokrywach unosiły się posążki, kubki przeróżnych wielkości i postaci. Razem z rzuconą niedbale na nie chustą jedwabną, składały także obrazek wdzięczny i bogaty.

Na jednem z krzeseł widać było od niechcenia ciśniętą piękną cytrę, również wysadzaną kunsztownie ze wstęgą niebieską. U komina, w przeciwnym kąciku pół otwarte drzwi, które przysłaniała ciężka przed niemi zawieszona draperya, dozwalały dojrzeć w drugiej izdebce łóżko o rzeźbionych słupkach, o jedwabnych płotkach, nad którego pokryciem unosiły się piór bukiety.

Wszystko tu miało wyraz miękkości, rozpieszczenia, rozkochania się w życiu, rozmarzenia w rozkoszy. Smutne dziewczę wśród tych zbytków i cacek raziło jak sprzeczność niezrozumiała.

Wczoraj jeszcze wszystko tu być musiało śpiewem, szczęściem, weselem, zapomnieniem smutków życia — a dziś?

Dziś z opuszczonemi bezwładnie białemi rączkami, na których palcach połyskiwały pierścienie kosztowne, siedziało dziewczę jak ptaszek w klatce, zadumane, skamieniałe.

Wieczór zwolna tracił jaskrawe blaski zachodu, barwy oddalenia szarzały i mgła jakaś, jak pół przejrzysta zasłona zdawała się je od patrzącej oddzielać.

Jedna po drugiej niknęły barwy, zacierały się kształty, zlewały przedmioty — dal ginęła już w pół mrokach. Tylko na rzece odbijał się jeszcze gorący blask słonecznych promieni... i gdzieniegdzie maleńkie szybki domostw połyskiwały jak oczy dziwotworów. Lecz dziewczę lub nic, albo mało co widzieć się zdawało.

Nagle czy chłód wieczorny owiał ją, czy myśl jakaś wstrząsnęła całą istotą — zadrżała, żachnęła się, rękę przyłożyła do czoła i westchnienie z piersi w świat poleciało niesłuchane, stracone. Dziewczę było tak w sobie i tęsknicy swej pogrążone, iż nie słyszało nawet, z cicha wprawdzie, ale coraz wyraźniej dających się słyszeć kroków, które z drugiej komnaty ku drzwiom się zbliżyły. Z szelestu szat domyśleć się było można kobiety.

Powoli szła, szukając oczyma i nie znajdując smutnej mieszkanki tego wesołego kątka.

Stanęła w drzwiach, ciekawie wypatrując za nią, i teraz można ją już całą widzieć było.

Była to pani lat średnich, na której licu nieco zmiękłem i rozlanem, znać było szczątki nadzwyczajnej piękności. Wszystko, czego wiek nie mógł zepsuć i nadwerężyć, świadczyło o niej.

Włos niegdyś jasny, oczy dziwnej barwy nieoznaczonej, a jeszcze osobliwszego wyrazu, rzymski nosek, nieco wypełniony już podbródek, czyniły razem wziętą fizyognomię tę, podobną do jakiejś żony Cezara ze starej rzymskiej monety.

I wyraz też godził się z tym charakterem.

Namiętny był, despotyczny, jakby pragnący i wyzywający do walki. Nic łagodnego, niewieściego, dobrego w tej chwili nie rozjaśniło tego profilu pełnego dumy i namiętności.

Głowa w bogatych klejnotach i zawiciu, wyniosła szyja biała, popiersie pełne a kształtne jeszcze, godziły się z figurą majestatyczną i pańską.

Strój, pomimo wieku, bo młodą już nie była, wytworny, a nadewszystko bogaty i wspaniały, okazywał, że do najwyższego społecznego kręgu należeć musiała. Suknię czarną, dobrze barwą obrachowaną, aby świeżość płci podniosła, aksamit, atłasy, koronki, jedwabne szycia i koronki ubierały bogato. Na piersiach miała złoty łańcuch misternej delikatnej roboty, wyrób weneckich lub genueńskich złotników — podobne ozdoby widać było u pasa, a białe pulchne ręce tak okrywały pierścienie kosztowne, iż niektórych palców końce zaledwie widać było.

W tej chwili namarszczone groźno brwi, zaciśnięte wargi blade, wzrok zaostrzony niepokojem, nadawały przybliżającej się pani wyraz, który mógł przerazić słabą istotę.

Lecz nadchodząca nie zdawała się przybywać tu dla wywarcia tego gniewu, który niosła w sercu, szła ostrożnie, nie chcąc przestraszyć. Stanęła w progu, jakby potrzebowała się namyślać czy wnijść miała.

Wpatrzyła się w dziewczynę zadumaną, ręką uchyliwszy ciężką zasłonę u drzwi i stała, stała długo, nim w końcu umyślnie poruszyła portjerę, aby dać znać o sobie.

Dziewczę porwało się przestraszone, potrzebując chwili do opamiętania gdzie było.

Zatopione w myślach straciło poczucie i pamięć rzeczywistości.

Wchodząca pani, która od progu powolnym ku niej przybliżała się krokiem, nadała twarzy, przed chwilą gniewnej i zasępionej, wyraz nienaturalny, wymuszony, dobroci i łagodności.

Lecz, pomimo wysiłku, tak nieprzystawał on i niezwyczajnym był licu, nawykłemu do swobodnego wyrażenia gwałtownych namiętności i wybuchów woli żelaznej, że jak gość przelotny, mający zniknąć rychło, zdał się pożyczanym i fałszywym.

Dziewczę zobaczyło nadchodzącą i jakby zawstydzone, na uczynku schwytane, drobnemi kroczkami pośpieszyło znijść z dwóch wschodków, które wgłębienie okna od pokoju oddzielały.

Stanęła naprzeciw tej, która tu widocznie panią była.

Z politowaniem przysunęła się niewiasta starsza do dziewczęcia i, nie mówiąc nic jeszcze, ręką białą pogłaskała ją po twarzyczce, która zwisła na piersi smutnie.

Oczyma rzuciła po izdebce; tuż u stołu, jakby nagotowane dla niej, stało krzesło wielkie, jedyne jakie tu się znajdowało. Przybyła rzuciła się na nie, oparła twarz na ręku i przed chwilą łagodne rysy znowu posępnym gniewem zciemniały.

Dziewczę stało zwrócone ku niej.

— Płakałaś, Dżemma! widzę to po twoich ślicznych oczach!—odezwała się po włosku, ale w jej ustach nawet ta mowa muzykalna nie brzmiała harmonijnie, szorstko, ostro leciały z pod warg drżących wyrazy: — Dziecko jesteś!...

Wiesz już! tak! wszyscy wiedzą! Nie mogłam zapobiedz! tak! ale biada temu, co ze mną rozpocznie wojnę; ja nigdy nie uznam się zwyciężoną i nie złożę oręża. Ja

zawsze na swojem postawić muszę. Żenią go więc z Austryaczką.

Uśmiechnęła się złośliwie.

— Teraz, Dżemma, ty mi jesteś najpotrzebniejszą, teraz zdobędziesz trwale, na zawsze serce jego. Biada tej która tu, mimo woli mojej, się wciska, aby mi syna odebrała!

Nigdy! nigdy! — zawołała, zapominając się i tupając nogą.

W czasie gdy to mówiła, więcej sama do siebie niż do słuchającego pokornie z oczami spuszczonemi dziewczęcia, ręce jej były w ruchu nieustannym, twarz mieniła się i wykrzywiała, brwi ściągały, usta momentami karykaturalnej maski przybierały charakter. Straszna jakaś burza wrzeć musiała w żywo falujących piersiach.

— Słuchaj, Dżemma!—rzekła, podnosząc się nieco. Nie czas płakać, nie powinnaś mi być smutną, musisz być piękniejszą niż kiedykolwiek; musisz to serce jego, które miałaś, któregoś nie straciła, nietylko zachować, ale je okuć w kajdany... Ja na ciebie rachuję, tyś moim orężem... ale w zamian ci dam...

Tu wstrzymała się nieco i dodała:

— Obsypię cię złotem, dam ci najświetniejsze obok tronu stanowisko... wybierzesz je sama! Zrobię cię księżną, panią ziem szerokich...

Dżemma sobie obiema rękami oczy zakryła.

— A! królowo! pani — odezwała się głosem słabym — ja nic, nic, niczego nie żądam, oprócz serca jego. — I łzy polały się z jej oczów.

Uśmieszek przesunął się po bladych ustach królowej, położyła palec na wargach.

— Cichoż! nie płacz! Pracować potrzeba, wytężyć wszelkie siły, aby zwyciężyć. Nie masz się obawiać czego. Powinnaś mnie znać. Jesteś przy mnie prawie od dzieciństwa... patrzałaś na to, ilem tu walk zwalczyć musiała, a zwyciężyliż mnie kiedy oni?

Wszyscy ci sędziwi, poważni senatorowie, całe to mądre duchowieństwo, krzykliwa ich szlachta, mówcy, intryganci, wysilali się na to, aby wpływ mój osłabić, aby mi go odebrać, a mimo to rosnął on z każdym dniem. Nigdy mocniej nie czułam się panią, nigdy nią nie byłam tak...

Tu przerwała sobie królowa.

— Powiesz mi, że to małżeństwo przeprowadzili przeciwko mej woli. Tak, ożenieniu zapobiedz całkiem nie było podobna, kraj cały się go domagał. I ja nie chcę aby zmarł bezprzytomnym, ale na to czas wielki jeszcze. Teraz mi go żona odebrać nie powinna, bo panować z nim, jak panowałam z ojcem, potrzebuję.

Dopuściłam Austryaczkę — mówiła ciszej, po komnacie wodząc oczyma niedowierzającemi — dlatego że ten wątły kwiatek prędko tu zwiędnąć musi... dlatego, że każda inna mogłaby zwycięzko wyjść z tej próby jaka ją czeka, ona zaś paść musi!

Wstała z siedzenia.

— Dżemma! pociesz się — poczęła żywiej. — Wiozą mu tę żonę, ale to jedzie ofiara przeznaczona na zgubę. Z zarodem śmierci tu przybędzie... On, on nigdy mężem jej rzeczywistym nie zostanie...

Dla dziewczęcia słuchającego chciwie wszystko to były rzeczy mało zrozumiałe, nierozwikłane, lecz nawykła wierzyć w słowa tej, która przyszła ją pocieszać, uczuła w sobie odradzające się męztwo... Twarzyczka jej blada poczęła zlekka się zarumieniać, piękne czarne oczy śmielej podniosły, duch znowu wstąpił w znękaną.

Milcząc schyliła się do ręki królowej i złożyła na niej pocałunek, za który pogłaskanie zapłaciło.

— Nie dręcz się, nie smuć — mówiła pani starając się głosowi nadać łagodność, choć gniew brzmiał w nim jeszcze. — Nic nie szkodzi piękności nad troski, a ty, ty szczęśliwa nie masz się troskać o co! On ciebie jedną kochał i kocha, od czasu jak się ta miłość zrodziła.

Ty dziecko moje, dla mnie on nie ma tajemnic! Dżemmo! trzeba przetrwać tę burzę, która będzie może gwałtowną ale krótką. Powtarzam ci, nie byłabym nigdy zezwoliła na to małżeństwo, gdybym pewną nie była, że je rychło śmierć rozerwie.

Mimowolnie wzdrygnęło się dziewczę słuchając.

— Nie bój się — odparła śmiejąc się królowa — nie potrzebuje jej tu zabijać nikt, śmierć ona sama z sobą przynosi.

Oczy dziewczęcia domagały się odkrycia tej zagadki, ale brwi królowej zbiegły się groźno i dodała:

— To moja tajemnica!

Palec przyłożyła do ust.

— Bądź wesołą... gość ten przemknie się jako cień, a ja nie dopuszczę, aby on ciebie dla niej na chwilę opuścił... Będzie żoną i królową, ale ani jego serca, ani panowania nie dotknie... To ofiara!... Cóżem winna, że nam ją narzucono?

Dżemma chwytała słowo każde, ale się odezwać nie śmiała.

Mrok wieczora poczynał coraz większe ciemności rozpościerać w tych mało oknami rozjaśnionych komnatach. Królowa silnie klasnęła w dłonie raz i drugi, i z zasłony od sypialni ukazała się główka niewieścia.

— Światła! — zawołała pani... i prędko złożywszy pocałunek na czole Dżemmy, czekała tylko natychmiast zjawiających się świec, aby szybko za niemi wyjść z mieszkania Włoszki.

— Dżemmo! bądź piękną i wesołą... Smutnej twarzy on nie lubi. Udawaj że nie wiesz nic... Śpiewaj mu i uśmiechaj się do niego. Tyś panią i tyś serca jego królową...

To mówiąc, wyszła poważnym krokiem, a pozostała w miejscu Dżemma oczy sobie zakryła i trzymała tak ręce przytulone do twarzy, aż póki służąca powracająca ze światłem, z zadumy ją nie rozbudziła.

Dwie młode służebne królowej czekały na nią ze świecami w ciężkich srebrnych lichtarzach, a drugie dwie, jednako ubrane wszystkie, iść miały za panią, niosąc wachlarz, rękawiczki, chustkę i okrycie. Wolnym krokiem postępowała pani, przechodząc naprzód izby, które dwór jej żeński mieściły, mniej daleko wytworne niż pokoje Dżemmy, potem kurytarzy część i galeryj zamkowych, z których widok był na podwórca wewnętrzne.

Baczne oko królowej rozpoznawało tu wśród koni, służby, kolebek i orszaków osób, które się na zamku znajdowały, barwę każdego dworu i zaprzęgi panów. Naprzemiany ruchoma i wrażliwa twarz jej dumna to się rozjaśniała, to chmurzyła.

Byli to jej sprzymierzeńcy, i nieprzyjaciele, bo wyższe klasy społeczeństwa dzieliły się wówczas na dwa obozy nieprzyjacielskie, walczące ze sobą jawnie, które choć się czasem ocierać musiały o siebie, przejednać się nie mogły. Na czele jednego z nich stała królowa Bona, która sama wszystkiem rządzić chciała i wymagała, aby się jej Polska poddała a legła u stóp pani, aby mogła czynić z nią co jej się żywnie podobało — drugiemu zdawał się przewodniczyć król Zygmunt Stary, ale w tej dobie życia dziwnie zobojętniały, z góry spoglądający na wszystko, co się działo na świecie, nie miał ani sił, ni ochoty do wojny.

Z majestatyczną powagą, z rodzajem filozoficznej ironii patrzył on, uśmiechając się, na igraszki losu, na gniewy aż do wściekłości posuwające się żony, na opór, który jej dostojni mężowie senatu stawili, na zwycięztwa kolejne swoich przyjaciół i zauszników Bony. Coś z milczącego, zimnego, wytrzymałego charakteru ojcowskiego miał w sobie Zygmunt i w wielu razach go przypominał, przzewyższając tylko wielkim majestatem, dostojnością, o którą dbał, i ociężałością, jaką lata ostatnie ściągnęły.

Przyjaciele, zansznicy, sprzymierzeńcy, ulubieńcy, Bony, brali z każdym dniem górę, a król nie zdawał się oceniać nawet klęski jaką ponosił.

W jednej tylko sprawie małżeństwa syna z powinowatą blizko Elżbietą, wnuczką Władysława czeskiego, bardzo dawno umówionem, któremu Bona uparcie się sprzeciwiała, król właśnie energiczniejszym objawem woli zwyciążył. Małżeńswo zostało postanowione. Bona się oprzeć temu nie mogła, ale poprzysięgła zawczasu zemstę i prześladowanie tej, która mimo jej woli miała przybyć, odebrać serce syna, może męża, i dzielić, jeśli nie wydrzeć, jej panowanie.

Przechodząc kurytarze, królowa rzucała oczyma roztargnionemi, wyrazem gniewu na ludzi, których pomijała.

Wszyscy oni niemal, znając tę twarz pani, starali się przesuwać niepostrzeżeni, Bona była rozdąsana i gniewna!

W tych chwilach rozdrażnienia wiedziano, jak najmniejsza rzecz do szaleństwa mogła przyprowadzić panią, która namiętności swych ani ukrywać, ni hamować się nie starała.

W komnatach, które zarówno do izb króla i królowej prowadziły, gdzie się wielu oczekujących na posłuchania gromadziło, gdzie spoczywali dworzanie pana i pani, komornicy królewscy, dwór duchownych przybywających na zamek — niedaleko od tych podwoi, któremi Bona wnijść miała na pokoje swoje, stał jakby umyślnie na przesmyku postawiony w cudackiem ubraniu, z niemniej oryginalną fizyognomią, na którego patrząc zdala dworzanie chichotali, ukazując go sobie.

Wystrojony ów średnich lat mężczyzna, wcale się na to zważać nie zdawał.

Za panowania Zygmunta w Polsce, jak nigdy, namnożyło się było strojów tak rozmaitych, tak dziwacznych, z różnych stron świata pochwyconych, iż narodowej su-

289

kni, jak świadczą współcześni pisarze, prawie oznaczyć nie było podobna.

Staroświecka, prosta opończa jedna ją zastępowała.

Wśród tej mnogości ubrań włoskich, tureckich, francuzkich, niemieckich, czeskich, wiele raziły dziwactwem, ale właśnie przez to tych co je nosili pociągały. Zwracały oczy na nich, czegoby w inny sposób nie dostąpili.

Stojący u drzwi mężczyzna, Petrek Dudycz, na teraz komornik królewski, choć komory pańskiej wcale nie patrzył, wyglądał nader osobliwie.

Nie młody, przystroił się kuso, nader barwnie, niby z włoska, bez smaku, a jego sucha, długa, koścista figura w obcisłej odzieży, jeszcze się chudszą i przeciąglejszą wydawała. Na obnażonej szyi opalonej, którą żyły oplatały, siedziała głowa nie wielka, z włosami rzadkiemi, starannie utrefionemi i twarzą pocieszną a brzydką.

Krągła, płaska, oprócz mocno wystających policzków, z oczkami małemi, twarz ta się odznaczała nosem ledwie dostrzeżonym, siedzącym na niej jak spore zaczerwienione ziarno bobu, i niezmiernie od niego oddalonemi ustami szeroko od ucha do ucha rozciętemi. Przestrzeń stosunkowo wielką pomiędzy noskiem a gębą chciał zająć wąsik, wymęczony ale nieobfity i nastrzępiony.

Brzydki był okrutnie Dudycz, a bardzo mu się pięknym być chciało, co dowodził ów ubiór z włoska, wykwintny, kosztowny, krojem wymuszonym, czyniący go jakąś maszkarą.

Dudycz, niegdy ubogie chłopię, wątpliwego szlacheckiego pochodzenia, służył na dworze owego sławnego podskarbiego Kościeleckiego, po którym Boner wziął żupy.

Kościelecki ten nieszczęśliwy rozmiłował się w Szlązaczce owej, którą ze sobą dawniej przywiózł Zygmunt, matce Janusza z książąt litewskich, i poślubił ją, mimo że kochanką królewską była.

Nie przebaczyli mu tego bracia, zerwawszy z nim, i takie go od nich i od panów, a szlachty spotykały despekta, że zagryzłszy się zmarł biedny.

Przy tym wielkiego męztwa, najpiękniejszych duszy przymiotów mężu, który serce tylko miał miękkie, Dudycz spędził długie lata; a że do żup był przez niego przeznaczonym, z soli się dorobił majątku i stał się człowiekiem dostatnim.

Śmiali się z niego ludzie, bo i zająkliwym był i śmiesznie wyglądał, ale kaletę miał nabitą, więc mu się pod czas i kłaniał niejeden.

Jakim sposobem Dudycz dostał się na dwór pański i komornikiem go mianowano, o tem on tylko wiedział jeden.

Na zamek się dostawszy, umiał tak się z ludźmi obchodzić, że choć królowi służył, choć ks. Maciejowskiego w rękę całował, niemniej nizko kłaniał się Gamratowi, a na pokoje królowej miał wstęp dozwolony.

Nikt go tak dalece nie kochał, ale też nikt nie wzdragał się i nie odpychał.

Dudycz miał pewnie lat przeszło czterdzieści, był dotąd nieżonatym, i teraz dopiero zamyślał wstąpić w święty stan małżeński... serce miał miękkie i wielką miłością zapałał dla—nie do uwierzenia—najpiękniejszej z dziewcząt dworu królowej Bony, dla tej uwielbianej, opiewanej Dżemmy (Gemma) Pagliari, na której cześć poeci składali ody... a pocichu mówiono, że młody król Zygmunt August oddawna śmiertelnie w niej był zakochany.

Zuchwalstwemby to było niedarowanem Dudyczowi, gdyby Dżemma nie była ubogą, ubogą jak myszka kościelna, a on nie patrzał już na pana.

Wiedziano, że pan komornik kilka wsi posiadał w Krakowskiem, a oprócz tego na groszu mu nie zbywało.

Dziewczę patrzeć na niego nie chciało, mówiło, że wstręt w niej wzbudzał nie do wyrażenia... ale królowa

Bona opiekunka Dżemmy, zajmująca się jej losem, wiedziała dobrze o tem, iż Dudycz wzdychał do pięknej Neapolitanki, uśmiechała się czasem złośliwie i nie wypędzała go, nie zrażała. Owszem zdawać się mogło czasami, że do wytrwania zachęcała, że mu jakieś czyniła nadzieje.

Dudycz był jej widocznie na coś potrzebnym.

Ci, co na zamku królewskim i na dworze królewskim stosunki mieli, a wiedzieli co się tam działo, utrzymywali, że królowa zarówno miłostkom syna pobłażała, nie tylko na nie patrzyła przez szpary, ale nieznacznie do nich dopomagała i ułatwiała je tajemnie.

Dżemma była u niej w wielkich łaskach, a od niejakiego czasu mianowicie pieszczotką i ulubienicą. Królewicz ze swej strony, matka od siebie obdarzali śliczną dzieweczkę, obsypywali wszystkiem, czego tylko zapragnąć mogła.

Jak się u królowej starej godziło protegowanie Dudycza i sprzyjanie miłości syna, dla wielu było zagadką.

Jak dziś, tak niemal codzień Petrek Dudycz szukał wszelkich zręczności pokazania się i przypomnienia Bonie, pochwycenia od niej słówka, rozkazu, skinienia, na których budował nadzieje.

Stał i teraz na przesmyku, spodziewając się, że wracająca królowa obdarzy go choć uśmiechem, ale nadchodząca pani niosła na twarzy zachmurzonej jak noc, w brwiach zmarszczonych tylko gniewu i złości zapowiedź.

Spojrzała na stojącego u drzwi długiego Dudycza i zatrzymawszy się na oka mgnienie, skinęła mu aby wszedł za nią. Komornik posłuszny wcisnął się we drzwi razem z idącemi za królową dziewczętami. Bona dała im znak, aby szły dalej, a sama podniosła oczy na Dudycza, który pochylony czekać się zdawał rozkazów.

Przez chwilę namyślała się królowa. Myśl jakąś musiała rozważać jeszcze. Dudycz nie mówił po włosku,

ale ze szkół i życia wyniósł trochę łaciny, a królowa doskonale, wprawnie i wytwornie mówiła tym językiem.

— Cóż Dudycz?—zapytała—masz tam dużo do roboty przy starym panu?

Petrek się uśmiechnął.

— Nic a nic—rzekł jąkając się powoli—moja służba stać kilka godzin w antykamerze, aby gawiedź się śmiać miała z kogo. Nikt nigdy nie raczył mnie użyć do niczego. Marszałek oczy odwraca.

— Bo jest ich tam dosyć przy moim panu—dodała Bona żywo, chcąc skrócić rozmowę.—Powinieneś szukać innej służby... Młody król się żeni, wiesz?—dodała ze złośliwym przekąsem — wiesz? Służby więc albo dla siebie lub dla żony potrzebować będzie. Życzę ci, abyś się tam zapisać starał.

Dudycz skłonił się posłusznie.

— Byleby mnie przyjęto—zamruczał.

— O to się postaramy — dokończyła Bona, już zwracając się jakby w głąb pokojów swych pilno jej było —ale Dudycz ma pamiętać, że gdziekolwiek jest i będzie, przedewszystkiem m o i m ma być sługą.

I ręką wskazawszy na siebie, Bona oddaliła się krokiem nieco przyśpieszonym.

Dudycz krótką chwilę pozostał zadumany w progu, sam jeden, otworzył potem drzwi i powrócił do antykamery, w której cichy gwar dworzan i komorników panował.

Na ławach pod oknami w pół mroku niektórzy grali w warcaby i szachy, inni śmiejąc się stłumionemi głosami coś sobie rozpowiadali. Siedzieli jedni, przechadzali się drudzy, a niektórzy śmielsi, przez drzwi otwarte i tylko kurtyną z kobierca oddzielone od antykamery, zaglądali do dalszych pokojów, w których głębi dopiero król stary swych gości przyjmował.

Dudyczowi wśród tego towarzystwa, dla którego się czuł obcym, było też nieswojo. Nikt spotykając się

z nim nie okazywał ochoty do rozmowy, żaden z dworzan nie zbliżył się do niego. Dlaczego tego wieczora dłużej chciał tu pozostać, sam może nie wiedział. Spodziewał się li jakim przypadkiem choć przesuwającą się zdala widzieć Dżemmę?

Po krótkim namyśle Dudycz ostrożnie się przesuwając, tak aby nikogo z zebranych tu kupkami nie potrącił, doszedł do kurtyny, podniósł ją i cicho stąpając wsunął na puste pokoje.

Szeregiem stały one otworem, mało co oświecone, nie było w nich prawie nikogo. Przesuwały się pacholęta niosące do króla dzbany srebrne na misach złocistych, służba zamkowa i jakieś postacie do rozpoznawania trudne.

Z ostatniej komnaty, dość oddalonej, w której król zasiadał, zaledwie niekiedy głosy tu dochodziły. Ciszą i mrokiem obleczone stały puste izby te, dosyć wspaniałych rozmiarów, ale jak na królewskie dość przybrane skromnie.

Ławy okryte poduszkami i kobiercami stały ciężkie, krzesła na których poręczach rzeźbionych gdzieniegdzie połyskiwało złocenie, na ścianach obrazy ciemne, na innych malowania spłowiałe, od sklepień wiszące świeczniki z niepozapalanemi żółtemi świecami nie widać było nic więcej.

Dudycz wszedłszy tu, zwolnił kroku, mógł spocząć na ławach pustych i rozmyślać bez przeszkody... Nikt mu tu ani śmiechem, ni rozmową nie wadził. Posunął się, przeszedłszy pierwszą komnatę, do drugiej, w której więcej cokolwiek światła było. Oprócz kilku świec przy ścianach, przez okno na podwórce wychodzące wpadał blask pochodni, których kilka niezgaszonych palili woźnice i pachołkowie pańscy.

Petrek miał już siąść w kącie i upatrywał miejsce, gdy zwróciwszy w głąb oczy, zobaczył naprzeciw siedzącego na ławie, rozpostartego wygodnie, z nogą na nogę założoną, starca.

Należeć on musiał do dworu, a nie był ani wysokim urzędnikiem, ani pospolitym posługaczem.

Sam wiek jego podeszły świadczył, że tu jakieś odrębne stanowisko zajmował.

Dudycz zobaczywszy starca, zatrzymał się z pewną obawą i poszanowaniem razem.

Postać była niepowszednia.

Blask od okna bijący oświetlał ją ostro, wydatnemi czyniąc rysy, którym starość nie odjęła życia, jakie w nich drgało.

Twarz była długa, czoło wysokie, wypełzłe, usta ironiczny, łagodny uśmiech trzymał jakby obojętnością zamknięte na wszystko, co oczy przeszywające chwytały. Marszczki niezliczone, fałdy i zapadliny, jakby siecią poszarpaną okrywały policzki aż do czoła, które było wygładzone i lśniące... tam na sklepieniu, gdzie królowała myśl, panowała pogoda.

Rodzaj litościwej wzgardy wybitny charakter nadawał pięknej tej głowie filozofa.

Nie w rysach, ale w ich znaczoniu było coś Sokratycznego.

Widać było, że człowiek ten wiele cierpieć, wiele przebyć a wszystko już lekceważyć musiał. Salomonowa *vanitas vanitatum* mówiło z każdej z tych uśmiechających się marszczek. Lecz gniewu w tym śmiechu nie było.

Ubiór wcale się na królewskie nie nadawał pokoje. Miał na sobie suknię długą na kształt opończy, z kapturkiem, pod którą innego domyślać się było można stroju.

Rękę jedną suchą, pomarszczoną, żylastą trzymał opartą na rodzaju kiju, który sam tylko tłómaczył kim był ten starzec, spoczywający tu na ławie jak gdyby był u siebie w domu.

Do kija tego pstrego przyczepionych było kilka li-

sich ogonów i dzwonków, którym serca wyjęto, aby brzękiem nieustannym nie dokuczały.

Starcem tym był ów sławny królewski trefniś, Stańczyk, który już trzem królom, trzem braciom rzucał w oczy prawdę gorzką, sarkazmem nielitościwym i gryzącym.

Kto on był, ów Stańczyk, którego szanowali wszyscy, bał sie każdy, starzec, co innego życia nie pożądał i spoczynku nie zapragnął, o tem już nawet pamięć się zatarła.

Mówiono go szlachcicem i miał powagę swego stanu, podanie głosiło niegdyś żołnierzem, który życie ledwie uniósł z Bukowiny za Olbrachta... a potem? jak się wyrzekł szczytu i nazwiska, jak spadł czy podniósł się aż do trefnisia na dworze, gadki chodziły różne, On sam o sobie nie mówił nigdy. A znał całą Polskę, wszystkie rody, ludzi, związki, charaktery, jakby żywą był kroniką.

Na prawdę nie trefnisia on tu miał urząd i obowiązki, bawił rzadko, chociaż boleśnie często, odzywał się mało. Błądził po zamku i uśmiechał się sam do siebie. Gdy kto mu rzucił pytanie, jeżeli na nie odpowiedzieć raczył, to po długim namyśle i kilku krótkiemi słowami, często jak ostrze noża włoskiego, wbijającemi się w pierś i pozostającemi w pamięci na zawsze.

Nie dziw, że Dudycz niewymowny, bojaźliwy, znalazłszy się oko w oko wobec tej potęgi, której się lękał, nie wiedział co ma począć — cofnąć się pocichu, czy pokłonić, odejść śpiesznie czy się zbliżyć.

Stańczyk już miał wlepione w niego oczy. Karykaturalna ta postać bawiła go... usta zamknięte nieznacznie się ściągnęły.

— Siadaj Petrek — odezwał się stary wskazując na ławę. — Cóżeś się ty tak dziś wystroił jakby w swaty ub na wesele? A po nocy tu u nas wszystkie koty czarne i moja stara opończa warta twojego nowego sajanika.

Dudycz nie wiedział co odpowiedzieć, lecz nie śmie-

jąc się sprzeciwiać, zajął miejsce na ławie w przyzwoitem od trefnisia oddaleniu.

Stańczyk za nim powiódł głową.

— Słuchajno—rzekł — tyś się to do bab tak przystroił? Czy one jeszcze nie dojadły ci dosyć?

Powstał Dudycz i głową potrząsnął.

— Jam ich znać nie miał czasu.

— A teraz osolony, bezpieczny—rzekł Stańczyk— myślisz na drugie pół wieku puścić się gonionego! Hej! taniec to niebezpieczny!

Spuściwszy głowę słuchał nauki Petrek, nie ważył się ust otworzyć.

— Powiał wiatr żeniący — zamruczał Stańczyk— młodemu królowi dają panią. Zaprawdę czas aby miał jedną, nakosztowawszy się ich tylu...

Drgnął Dudycz niecierpliwie i poruszenie to ławie zapewne a Stańczykowi się czuć dało.

— Fraucymer starej pani odetchnie—mówił—gdy królowę przywiozą, a piękna Dżemma oczy śliczne wypłacze!

Na wspomnienie swej bogini, bo tak ją Dudycz nazywał, żywo się znowu poruszył dworzanin.

— Dżemma!—powtórzył głosem dziwnym, w którym więcej coś brzmiało niż pytanie obojętne.

Stańczyk popatrzył nań złośliwie.

— Włoszkę chciałbyś sobie wziąć—przerwał trefniś — ale dla nas Polaków powiadam ci, wszelka włoszczyzna niezdrowa. Zjeść ją można, smakuje czasami, ale strawić trudno.

Mówił nie spuszczając oczu z Dudycza, a twarz śmiała mu się smutnie, tą mięszaniną bólu i ironii, która jest zwątpienia ludzkiego cechą.

Niekiedy zjawia się ona w fizyognomiach filozofów, czasem na licu szalonych. Schodzą się w niej mądrość i obłąkanie.

Dudycz wahał się ust otworzyć, wstyd mu było przed tym szydercą do słabości swej się przyznać.

Stańczyk, który zgadywał czego wiedzieć nie mógł, czytał w tym biednym Petrku jak w otwartej księdze.

— Po co ci się kręcić i wisieć przy dworze — począł zcicha.—Dorobiłeś się z soli chleba, możesz mieć do woli i jednego i drugiego... a służyć ci się chce! Nałóg do jarzma! kark świerzbi, gdy go co nie gniecie! Jechałbyś rzepę siać i Boga chwalić.

Dudycz się czuł dotkniętym.

— Cóż to ja? dworum nie wart? prostak taki! — zamruczał.

— Hę!—zawołał stary — może ten dwór nie wart i ciebie.

Ramiona mu się poruszyły, odwrócił głowę. Petrek pod nosem sobie coś mruczał nadąsany.

— A wy? czemu przy dworze wisicie? — dało się słyszeć w końcu.—Hm!

Trefniś twarz skierował ku mówiącemu, wyciągnął ogromną rękę swą i ciężko rzucił ją na ramię Dudyczowi.

— Prawdę mówisz—rzekł—i jam tu na nic. Stary król ogłuchł, więc nie słyszy co Stańczyk prawi, młody słuchać nie ma czasu, królowe tylko trefnisiów lubią... a no mnie już tu nie długo i nie mam dokąd, a ty...

Rozmowa przerwaną została. W sąsiedniej komnacie króla słychać było ruch i podniesione żywiej głosy, jakby goście, którzy tam byli, zabierali się do wyjścia. Dudycz zmięszany nie chcąc, aby go tu z trefnisiem na jednej ławie widziano, wstał żywo i nie pożegnawszy starego pośpieszył ku drzwiom bocznym uchodząc.

Stańczyk pozostał... zadumany, obie ręce sparłszy na ławie, zgarbiony, z głową spuszczoną, nie podniósł nawet oczów, gdy głośno otwarły się drzwi komnat pańskich i na jasnem tle ich ukazały się poważne postacie senatorów nie wielu, żegnających starego pana.

Przodem szedł podkanclerzy Maciejowski.

Na zamku krakowskim który podówczas ciągle jeszcze restaurowano i przyozdabiano, ku czemu też z Włoch mnogich ściągano kamieniarzy, budowniczych, rzeźbiarzy, co kolonię italską, już i tak z każdym dniem powiększało — na zamku nie było izb tak wiele, aby nawet najpotrzebniejszych królowi senatorów pod bokiem jego umieścić.

Znaczną część komnat zajmowały kobiety, służba, dwór starej królowej, która dla siebie ludzi wielu potrzebowała, a w miarę jak wpływ jej rosnął, około Zygmunta stawało się puściej coraz, przy Bonie ludniej.

Ci nawet, których król nieustannie radzić się i posiłkować niemi musiał, na mieście szukali kwater u dostojniejszych kupców. I najwierniejszego a najniezbędniejszego doradzcę pańskiego biskupa płockiego Maciejowskiego los ten spotkał, że na zamku gościem bywał tylko, choć tu kancelarye się jego mieściły. Może też dostojny mąż rad był temu, że choć przez chwilę jedną dnia swobodniej, szpiegów, oczu i uszu niechętnych nie lękając się, mógł odetchnąć a z przyjacioły swemi się naradzić i spocząć,

Smutne zaprawdę było położenie tych nie wielu doradców króla starego, którzy przy nim stojąc, resztę jego dostojeństwa ratując, całemu wojsku licznemu, nieprzebierającemu w środkach, zauszników Bony czoło stawić musieli. Coraz trudniejszą walka się stawała, a rycerzy do nich brakło. Szeregi zacnych mężów się przerzedzały... Król z każdym dniem starzał i stawał się słabszym. Dawna energia uparta Jagiellonów, żelazny opór ojca, miękły złamane chorobą i umiejętnemi napaściami Bony, która znała dobrze małżonka i nie wahała się dla postawienia na swojem, uciekać do ostatecznych środków.

Naprzeciw Maciejowskiego ze spokojem, męztwem i powagą wiodącego bój ten z królową, stał ów osławio-

ny, z małego wyrosły Gamrat, dzisiaj przeciwko kościelnym prawom i obyczajowi razem zasiadający na dwóch najwyższych stolicach biskupich, Gniezna i Krakowa. Kto był ten Gamrat, do którego się Sulimowie niechętnie dawniej przyznawali, o którym prawiono jak o Ciołku (a był jego wychowańcem i domownikiem), że w kurpiach z Podgórza, pieszo o kijku do szkół krakowskich przywędrował.

Człowiek-zagadka był niezawodnie wielce zdolnym i równie przewrotnym, odważnym, zuchwałym dorobkiewiczem.

Ciołek, co z syna karczmarza doszedł za łaską Aleksandra najwyższych w kościele dostojeństw, był mu wzorem, królowa Bona narzędziem, jak on jej sługą i powiernikiem, Pomimo króla, który go nie lubił, pomimo wszystkich zacnych i poczciwych, co się nim brzydzili... mimo niesławy jaką był okryty, Gamrat dobił się czego tylko pragnął, i był wraz z Boną panem niemal Polski tej, której słabnący Zygmunt zwał się królem.

Około biskupiego pałacu przy Gamracie gromadziło się co służyło Włoszce, przy Maciejowskim i Tarnowskim hetmanie co wiernem pozostało królowi.

Kamienica, którą w rynku zajmował Maciejowski, gdy do wilii swej nad Prądnikiem uciec dla spoczynku nie mógł, wprawdzie na zewnątrz od innych się nie różniła wielce, ani od nich nie była piękniejszą, ale wszedłszy wewnątrz łatwo się poznawało mieszkanie człowieka, który wykwintnego nabył smaku, długim za granicą; szczególniej we Włoszech pobytem.

Stosunki ówczesne dwu krajów były tak ścisłe, jakby ich wielkie nie dzieliły przestrzenie.

Małżeństwo królewskie z Boną ze Sforziów ożywiło je, lecz ono też było skutkiem bardzo dawnych i nieustannych Polski z Włochami związków.

Dość jest przerzucić spisy ówczesnych dostojników

kościoła, profesorów akademii, lekarzy naszych, panów, wodzów, aby się przekonać, iż mało który z nich nie uczył się we Włoszech, nie wywiózł z nich idei, nauki, smaku, kierunku przyszłego życia.

Nie było miesiąca w roku, ażeby ktoś z Krakowa nie został wysłany do Rzymu, lub ztamtąd nie wrócił. Roiło się młodzieżą naszą w Padwie i Bononii. Uczyli się tam i katedry zajmowali Polacy, jak ów Struś, najsławniejszy z lekarzy w Polsce, który dla niej katedrę medycyny porzucił.

Podkanclerzy Maciejowski, liczny dla samych spraw, które się w jego kancelaryi gromadziły, dwór młodzieży utrzymywać musiał. Ztąd mieli wyjść ci, co później zasłynęli na najwyższych dostojeństwach... a tu się młodzież kształciła do praktycznego życia.

Oprócz niej, do Maciejowskiego się garnęło wszystko co z boleścią patrzyło na rządy Bony, faworytów, Gamrata, cudzoziemców bez miłości kraju wyzyskujących go... Tu jeżeli radzić nie było można, zaboleć otwarcie było wolno.

A bolano tem więcej, że przyszłość nie obiecywała się jaśniejszą, bo młody król Zygmunt August, którego teraz żenić miano, był więcej wychowańcem królowej niż króla, Włochów niż Polaków, fraucymeru Bony, niż rycerzy z pod Obertyna.

Liczny szereg izb na pierwszem piętrze składał biskupa Samuela mieszkanie, gdy na dole dwór i służba się ściskała, jako tako jak śledzie w beczce, niby na obozowisku żyjąc.

Nie było przepychu około biskupa Samuela, bo on sam skarbów nie miał, nie zbierał ich i nie trwonił, ale komnaty się odznaczały poważną wytwornością wielkiego smaku.

Włoskiego pędzla obrazy, włoskie marmury i bronzy, flamandzkie opony, rzeźby z drzewa ubierały izby, którym prosty człek nie bardzo się dziwił, bo nie błyszczały nadto, ale znawca miał tu na co patrzeć.

Wieczór nadchodził właśnie i biskup Samuel powróciwszy od króla spoczywał u siebie, domowników przywołując i łagodnie im dając rozmaite rozkazy.

Piękną, jak dusza Samuela, była zewnętrzna postać jego, pańska bez dumy, dostojna bez wyniosłości, szlachetna bez wymuszenia, miła oczom, choć się o to nie starała.

Wiek nie wiele ją potrafił nadwyrężyć. Rysy oblicza zachowały się tym spokojem mężnym duszy, który daje spokój sumienia i wiarę w cel żywota.

Maciejowski widział go przed sobą, w służbie kościołowi i krajowi. Stan kapłański do obojga go namaszczał.

Siedząc przy stole, rozmowę prowadził ze spartym na nim marszałkiem dworu swego, gdy w dalszych pokojach szmer zmusił go przerwać naradę.

Wieczorni przybywali goście, na których tu nigdy nie zbywało. Nie bywało tu tłumów, bo nie było biesiad, zabaw i gwaru, ale też nigdy pustkami komnaty nie stały.

W tej chwili przybywał Tarło biskup przemyski, a tuż za nim szedł żupnik Seweryn Boner, gdy na wsz»hodach świecono Andrzejowi z górki kasztelanowi poznańskiemu, wielkorządcy wielkopolskiemu.

Wszyscy oni spodziewani byli—pożądani.

Brakło tylko dnia tego hetmana Tarnowskiego, który doma dla pilnych spraw był wstrzymany.

U progu witał Maciejowski przyjaciół swych, do których wkrótce i mniej głośnych, a niemniej mu wiernych garstka się przyłączyła.

Twarze widać było wesołe... lecz po tej wesołości umiarkowanej, cichej, znać było ludzi, którzy ani boleć krzykliwie, ani się wrzaskliwie bawić nie umieli.

Tarło począł Maciejowskiemu winszować zwycięztwa.

— Przemogliście owe mocy nieczyste — rzekł. — Króla młodego żenicie, a przez to go może z pod władzy matki wydobędziecie, oddzielicie od niej.

— Przebóg—dodał — cóż to za czasy, co za położenie nasze, gdy musimy cieszyć się, żeśmy syna matce wydarli.

— Dałby to Bóg — przerwał pan z Górki, rycerskiego wielce oblicza mąż, który wraz z Tarnowskim laury zdobył pod Obertynem — lecz dzieło niedokonane jeszcze...

— A! i daleko do końca — rzekł Maciejowski siadając sam, gdy drudzy goście zwykłe miejsce swoje zajmować zaczęli. — Zdaje się, że w końcu małżeństwo to u kolebki obiecane, ciągle będące na celu, przyjdzie do skutku, mimo oporu Bony... ale co za los czeka tę biedną młodą panią!

Milczenie odpowiedziało na ten smutny wykrzyk, który się wyrwał z piersi biskupa.

— Młodziuchna, nieśmiała, a co gorzej pono wątła i słabowita—rzekł Tarło—jak ona tu sama jedna potrafi temu—tu zniżył głos—potworowi się opierać.

—Przypomnijcie legendy stare — rzekł Maciejowski—Bóg staje w niewinności obronie, a ma on siłę, której rozum nie potrafi ocenić. Ile takich dziewic potworom na pastwę rzuconych, niewidzialne ręce aniołów osłoniły...

— Co daj Boże!—westchnął Tarło.

— Królam nie widział jeszcze — odezwał się pan Andrzej z Górki, zwracając ku biskupowi—jakże jest?

Maciejowski nie odpowiadał długo, jakby mu ciężko było otworzyć usta—smutkiem się okryło oblicze.

— Nie łódźmy się kasztelanie—rzekł powolnie.— Wprawdzie ja obcując z nim oddawna codziennie, nie widzę schyłku jego jako drudzy, a mimo to, król straszliwie osłabiony, znękany, zobojętniały... niepodobna nie dopatrzeć, nie można zaprzeczyć...

— Miał on zawsze chwilki słabości — odezwał się pan Andrzej—gdy go niewieści pisk i krzygi zmogły, ale w nim owa Kaźmirzowa ojcowska stałość myśli mieszka-

ła, że się chwilowem ustępstwem z prawej drogi sprowadzić nie dawał.

— I dziś on widzi jasno—rzekł biskup Samuel — ale spokojny jakiś fatalizm starości go ogarnął. Mówi snadź sobie, iż Opatrzność ludzkie sprawy do pewnego wiedzie końca, i choć ulega, niebezpieczeństwa w tem nie widzi.

Maciejowski wstrzymał się chwilę i dodał z uśmiechem:

— Miłość jego dla przewrotnej tej gadziny włoskiej dawno ostygła, zna ją lepiej od nas wszystkich. Na wskróś przegląda każde jej słowo, zamiar i czynność, niekiedy łaje i w oczy ją głupią zowie albo szaloną... cóż potem? Gdy przywiedziona do ostateczności stara pocznie krzyczeć, płakać, rzuci się na ziemię, poszarpie suknie na sobie, włosy rozrzuci, bluzgać pocznie i Polskę przeklinać... Zygmunt w końcu woła: Idź, idź, rób co ci się żywnie podoba.

W milczeniu słuchano, aż przerwał biskup Tarło.

— Króla mi i pana mojego żal—rzekł—boć w nim wielki mąż był i monarcha wielki.

— Bezwątpienia—potwierdził Maciejowski.—Nadszedł wiek, sędziwe lata, choroba uczyniła swoje. Nie tym jest, jakim był w początkach. Widzi jasno, poczynać nie ma siły; ratuje się więc w sumieniu swem tem co wskazał... wiarą w Opatrzność. A jabym ją, taką jaka ona jest, rychlej fatalizmem nazwać mógł. Dobre jest zdanie się na wolę Bożą, bo bez niej nic się nie dzieje, aliści i człowiekowi dana wola w pewnej mierze, której zażyć ma obowiązek.

— *Quid sine viribus ira!*—szepnął Tarło wzdychając. — Tem też nasza Polska wdzięczniejszą być wam powinna bracie Samuelu, żeście przy małżeństwie młodego króla obstali i przyszłość nim ocalili.

— *Utinam!*—westchnął Maciejowski.—Uczyniono co było można, ale nie łudźmy się powtarzam. Stanęliśmy do walki, jeden Bóg wie przy kim będzie zwycięztwo.

— Przy dobrej sprawie — zawołał pan Andrzej z Górki.

— Tak, ale my, co walczymy za nią, garstką jesteśmy, a złych, co przeciw stoją, ćmy i legiony—rzekł gospodarz.

— Jakże Włoszka przyjęła porażkę?—odezwał się pan Seweryn Boner, żupnik, mężczyzna rozumnej twarzy, choć nie pięknego oblicza kwadratowego i rysów dość pospolitych.

— Złość swą musiała wywrzeć za kurtyną na karlicach i sługach, na tych co jej służyli a zawiedli... lecz gdy raz uchwała stanęła — mówił Maciejowski — co począć miała? Uśmiechnęła się ironicznie, wyzywająco, jakby mówiła: nie otrąbiajcie zwycięztwa, pókiście go niepewni.

— A cóż pocznie? —spytał Tarło.

— Mój Boże! — mówił Maciejowski—spytajcie raczej czego nie pocznie? ażali włoskich sztuk nie znacie? Pewna rzecz, że tam w tym kraju i wszelkiego dobra i siła złego się nauczyć można. Krew u nich żywiej płynie a ludźmi miota. Nie wiecież co tam może trucizna, sztylet i straszniejsza nad nie przewrotność. Wszystkiego tego zażyć przeciwko nam mogą, przeciw tej niewinnej ofierze.

Zamilkł urywając nagle.

— Grzesznym bym był—dodał—gdybym bez dowodów, iż się to stać może, tak srodze obwiniał... lecz patrzyłem, widziałem i wiem wiele. Dałby Bóg, byśmy pokonali tę potworę, która w herbie Sforziów dziecko pożera. *Omen* to jest!

Wzdrygnął się Tarło i rękę podniósł jedną do góry.

— Młody król przecież żonę umiłować musi; godzi się na niego rachować, że jej przeciwko matce bronić będzie.

Wstał pan Boner potrząsając głową.

— Przeciwko miłości dla żony, jest tu miłostek bez miary, coraz świeżych, a coraz powabniejszych, są dawne ulubienice... a ona matka, Boże mi przebacz porównanie, jak ona Neronowa Agryppina nad umysłem syna potęgę ma wielką.

— Tak jest—potwierdził biskup Samuel.—Patrzaliśmy na wychowanie królewicza, które na to jedynie obrachowanem było, aby władzę wielką nad umysłem jego osiągnąć.

Domagali się głośno a mocno panowie wszyscy, aby młody pan wychowanie odebrał męzkie, rycerskie, bo choć chwilami pokój mamy, nigdy bezpiecznymi od sąsiadów nazwać się nie możemy. Wojna jest przeznaczeniem naszem, wojna rzemiosłem. Nie dała Bona uczynić syna wojownikiem, odebrała i w fraucymerze zawarła, pieszcząc go, aby zmiękł, od ojca go trzyma daleko, od ludzi oddziela, od świata zasłania podwiką... czegoż się po nim spodziewać?

Wtem pan Seweryn Boner przerwał.

— Tak ci ostatecznie źle może nie jest, jakby być mogło—rzekł.—Znam ja młodego króla od dziecinnych lat jego. Pan niepospolitych umysłu przymiotów, a i serca wielkiego, szlachetności wielkiej.

— Co po tem, jeśli zniewieściał?—spytał Tarło.—Słabość w mężczyźnie przywarą wielką... sprężyny nie ma, półzegarze nie idzie... cóż dopiero w panującym, który wolę winien mieć za tysiące?

— No — odezwał się pan Andrzej z Górki—przyszłością się nie trapmy do zbytku, gotówem i ja ze starym królem zostać fatalistą! Bóg się ulituje nad nami. Tymczasem myśleć potrzeba, jako tej młodej pani, która tu przybyć ma, zastęp utworzyć, obrońców zjednać, czuwanie zapewnić.

— Ja—rzekł po małem milczeniu Maciejowski — najwięcej liczę na starego króla. Szczególną bowiem

w nim zawsze upatrywałem miłość dla tej narzeczonej syna, a tak blizkiej powinowatej.

Krew ci to nasza, wnuczka Władysława czeskiego, i czy temu, czy jej młodości, czy myśli zawcześnie powziętej a długo piastowanej, winna Elżbieta, że ją już dziś Zygmunt jak własne dziecko miłuje.

Żadnej ze swych córek, nawet Izabelli, ulubionej Bony, nie kochał tak, a Dantyszek i Lutalski, co ją widzieli, twierdzą, że miłość ta jest całkiem usprawiedliwioną.

Śliczne ma być dziecię, skromne, miłe, obyczaju pięknego, wychowana w bojaźni Bożej, serca przedziwnego, umysłu rozbudzającego się; a że wcześnie ją naszemu Augustowi przeznaczano, że listy nawet pisywali do siebie, więc w młodem sercu już jest uczucie dla przyszłego męża.

— I ta to gołąbka niewinna — zamruczał, głową potrząsając Andrzej z Górki—ma paść ofiarą sępów!

— Znajdzie obrońców! w Bogu nadzieja.— dodał Maciejowski.

Czasu tej rozmowy, jak pospolicie u biskupa Samuela wieczorami, gdy widziano światło, ten i ów z przyjaciół jego wchodził. Znaleźli się Bojanowski rozumny, Lupa Podlodowski i kilku innych. Ale na nich nie zważając, bo wszyscy swoi byli, rozprawiano dalej, a nikt się z myślą swą nie ukrywał.

Wtem u drzwi szelest powstał i niektórzy głowy zwrócili ku nim, bo się ktoś śmiałym, posuwistym krokiem zbliżał ku rozmowcom... a był człowiek, dla nieznajomych wielce oczy ściągający i niepospolitej powierzchowności.

Takiego się najmniej na pokojach biskupa Samuela spodziewać było można, bo tu wszyscy pańsko i bardzo ochędożnie wyglądali, a przybywający, choć mu na fantazyi nie zbywało, bardzo z prosta i zaniedbanie był odziany.

Strojów onego czasu dziwnych nie brakło, a co człek, można było coraz inną modę widzieć na nim, ale po wchodzącym trudno było poznać, do jakiego należał narodu.

Buty miał długie, jakie w Polsce pospolicie noszono, spodem suknię jak sajanik skrojoną, ale wytartą i wyblakłą, choć materya na niej była niegdyś kosztowna i piękna. Wierzchem zaś na niej, wyszarzanym aksamitem okryte miał futerko z popieliczych wiewiórek, jakieby ledwie staremu słudze na powszedni dzień przystało. W ręku zaś trzymał kołpaczek futrzany, tak dobrze stary jak odzież cała. Za paskiem na sajaniku zatknięta była para rękawic wyszywanych, zużyta, u boku ani miecza ani szabli, tylko pod pachą laskę kutą niósł.

Niepozorny ten człek, średnich lat, przed czasem postarzały, głowę miał ogromną, nad którą czoło wypełzłe jak bania sterczało, twarz chuda, długa, kończyła się śpiczasto. Brzydki był, ale w oczach tyle rozumu miał, a w tej twarzy życia tyle, iż poszanowanie jakieś wzbudzał. A musiał się mieć za niepośledniego sam on, gdyż owi dostojni mężowie, owe bławaty, szaty i łańcuchy, między które poufale tak wchodził, bynajmniej go nie onieśmielały.

Ci co na drodze mu stali, ustępowali z ukłonem, zdala będący witali go z uprzejmością wielką, a ksiądz Samuel ręką wcześnie go pozdrawiając życzliwie się uśmiechał.

Zbliżywszy się do stołu nowy gość, z tą śmiałością z jaką wszedł, dokoła się pokłonił i stanął.

— Gościem wy u mnie rzadkim a wielce pożądanym, Strusiu miły — odezwał się biskup — bądźcież pozdrowieni!

Struś głową skłonił nieco.

— Dzięki Bogu, mnie tu nie było potrzeba—rzekł — a gdzieindziej mus iść i konieczność. Doktorowi wszyscy radzi, a no bodaj go nie wołać.

Struś ten był naówczas najzawołańszym z lekarzy w Krakowie; choć tu na nich nie zbywało, bo i Polaków co się we Włoszech uczyli, i Włochów i różnych cudzoziemców siła było można naliczyć.

Struś bodaj innych nauką i bystrem okiem w rozpoznawaniu chorób ludzkich i temperamentów przechodził. Szanowano go powszechnie z nauki wielkiej, ale i z charakteru niemniej pięknego. Jako to lekarzom wielu się trafia, codziennie z widokiem śmierci oswojonym i sprawy ludzkie nawykłym widzieć jak marnemi są. Struś swobodę umysłu i mowy wpośród najdostojniejszych osób zachowywał, a nie korzył się przed nikim. Tak mu było prawdę łatwo powiedzieć królowi, jako parobkowi, a zawsze była zdrowa i jędrna. Nie lękał się też nikogo, gdy jego wszyscy pożądali.

Ostatnie wyrazy rozmowy, toczącej się o królewnie Elżbiecie, wchodząc Struś pochwycić musiał, bo gdy się uciszono, rzekł:

— Nie radbym przerwał *Encomium* przyszłej pani naszej, a dowiedziećby mi się było miłem, że też dosyć siły a zdrowia mieć będzie, aby tu i miłości jednych i nienawiści drugich podołać mogła biedaczka.

— Co do zdrowia jej — zniżając głos rzekł biskup z powściągliwością pewną — różne wieści krążą, daj Boże, nieprawdziwe a złośliwe... Słabowitą być ma a wątłą.

Strusiowi się słuchając rozrosłe brwi pod wysokiem czołem ogromnie marszczyły.

— Jam coś też zasłyszał — rzekł — i dlatego pytam. Powiadają, że matka jejmości niedobrego jest zdrowia, a i w ojcu pewne przypadłości mogły z niego przejść na dzieci... chociaż to koniecznem prawem nie jest, aby one dziedziczyły je. Trafia się ten spadek często, lecz nie wszędzie, jedne dzieci mija, drugie obarcza.

Maciejowski milczał zamyślony.

— Zkąd ja to wiem — rzekł — nie raczycie mnie badać; słyszałem wszakże od tych, co często ostatniemi dniami królowę starą widywali, że ma pociechę z tego wielką, acz może przedwczesną, iż u przyszłej królowej o chorobie jakiejś skrytej wie, która jej życia długiego nie obiecuje...

Wszyscy chwilę milczeli, a pan Seweryn Boner po cichu szepnął Biskupowi Tarle, obok którego siedział:

— Może zawczasu choroby przepowiadają, aby się jej nie dziwowano, gdy potem włoskim kunsztem ją w kubku lub woni zadadzą!

Struś dosłyszawszy smutnie się uśmiechnął.

— Zowiecie to włoskim kunsztem—odezwał się—chociaż on i we Francyi i po równi w innych krajach, pod ten czas zły do wielkiej doskonałości doprowadzony został.

Zaprawdę ohyda to i smutek, gdy człowiek rozumu swego i nauki na to zażywa, aby potajemnie i bezkarnie broił.

Doszliśmy do tego, że i Lokusta lepiej smażyć nie umiała nad nasze trucicielki.

Srom wyznać, że i pomiędzy doktory są tacy, którzy nad tem pracują, aby jak najsubtelniejsze trucizny urządzać umieli, które potem nie na wagę złota, ale za ogromne sumy sprzedają...

— Ale sąć antidota — odparł po chwili biskup — i mówią o kamieniach takich, które nosząc nigdy otrutym być nie można.

Struś się uśmiechnął.

— Przeszła do nas ta wiara od starożytnych, tak jako o ametyście głoszą, iż upić się nie daje, ale cudny to by kamień być musiał, żeby samo nań wejrzenie i noszenie go, połknięty jad niszczyło... Baśnie to są.

— A toż prawda—zapytał Boner—że i zapachem zabić można?

— Prędzej niż wejrzeniem na kamień uleczyć — rzekł Struś—lecz smutna to treść rozmowy... rzućmy ją lepiej.

— O wesołą bo trudno — przerwał biskup Samuel.

Po tych słowach rozdzielili się mówiący i każdy z nich pojedyńczo z kimś cichą zawiązał gawędę. Wszystkie zaś one mniej więcej jednego się tyczyły przedmiotu—młodego króla i królowej przyszłej, na których wielkie pokładano nadzieje... tak jak Bony i królowania jej coraz się rozwielmożniającego lękali wszyscy, tem pocieszając tylko, iż ono z żywotem starego pana ustać miało.

Słowo to było w ustach wszystkich, i dosłyszawszy je biskup Samuel rzekł, że i to niepewna, ażali Bona, która na pozyskanie serca syna pracowała od dzieciństwa jego, nie potrafi go zatrzymać, tysiączne na to mając sposoby.

— Jakie one są — mówił znowu podniósłszy głos Maciejowski — wszyscy wiemy, bośmy na nie patrzyli. Młody pan wiele potrzebuje, bo do wykwintnego i zbytkownego życia jest nawykły, kocha się we wszystkiem co piękne, a co piękne jest, szacownem być musi.

Stary król nie rad na fraszki mu dostarcza i ostrzejby go chciał wziąć, czemu Bona nie przeszkadza, zarazem okazyę mając tajemnie ze skarbca go swego zasilać, co miłość jedna i utrzymuje. Jest w Chęcinach na zamku z czego wszelki zbytek żywić.

— Gorsze drugie—kończył biskup oczy spuściwszy—boć na krewkość wielką młodego króla obrachowane. Ma Bona zawsze przy sobie poddostatkiem pięknych dziewcząt, Włoszek i Polek, a przez szpary patrzy na miłostki syna.

— Cośbym i ja o tem powiewiedzieć umiał—szepnął Struś—wczoraj bowiem młody król przez dworzanina mnie swego prosić kazał, abym nie wyjawiając, że

to z jego naprawy poszło, Włoszce Dżemmie coś radził, gdyż chorą być ma.

— To wiadomo—wtrącił Boner—iż piękna bardzo Włoszka—bo to perła na dworze królowej, oddawna młodemu panu w oko wpadła... a źli ludzie mówią, iż Bona sama tego życzyła i ułatwiała.

— Byliście na zamku u niej? — zapytał ciekawie Andrzej z Górki.

Struś głową potrząsł.

— A jakżebym chorej i królowi odmówić miał?— rzekł.—Dworzanin Merło, co mnie prowadzić miał, tak się starał czas i drogę wybrać, aby nas nie baczono.

Nie wiem czy kto dojrzał mnie po pustych błądzącego kurytarzach, zanim Merło przodem pobiegłszy dał mi znak, iż wnijść mogę.

Gdym na próg wstąpił—mówił dalej Struś—w tejże chwili u drugich drzwi opadała kurtyna, i nie mylę się, bom młodego pana uchodzącego poznał. W komnatce tak ochędożnej a przybranej, jakiej nigdy królewny nasze nie miały, bo około tych skromnie jest i ubogo, zastałem ową piękność, u której nóg jeszcze świeżo porzucona lutnia leżała i struny jej niedograną pieśnią cicho dźwięczały. Ujrzawszy mnie zapłoniła się wielce i stała nieruchoma jak posąg, tak żem czas miał się dobrze przypatrzeć zbliżając powoli.

Oczów na mnie długo podnieść nie śmiała.

— Na prawdę bardzo piękna!—odezwał się Boner.

— Ani we Włoszech nawet takich wiele — potwierdził Struś — choć tam niewiasty za młodu słyną pięknością, tylko że ona nietrwałą jest, gdy naszych jejmości, jak się trafi hoża, to i w pięćdziesięciu leciech między dziewkami stanąć może... gdy Włoszka do trzydziestu ledwie doszedłszy, już stara.

Ozwałem się do wylękłej, pytając czy chorą była.

Podniosła dopiero oczy śliczne na mnie i cicho rzekła;—Nic mi nie jest.

Ująłem za rękę i puls badałem, który bardzo pośpieszny był i nieregularny. Niepokój duszy we krwi się czuć dawał.

Na pytania moje ledwie mi odpowiadać chciała, wciąż na drzwi spoglądając, których zasłona drgała, jakby za nią kto stał ukryty.

Chorą ją nie znalazłem, ale zdrową się nazwać nie godziło, bo z takiego niepokoju w całem ciele ludzkiem srogie nieporządki powstać mogą i śmierć nawet sprowadzić.

Ani tu moje leki aptekarskie mogły być skuteczne. Rzekłem więc, aby w sobie spokój starała się utrzymać i dobrą myśl, rozrywki szukała, muzyki zaniechała.

Ziółko też usypiające i uspokajające przysłać obiecałem.

— Łacno odkryć tej choroby przyczynę — przerwał pan Boner. — We dworze już wiedzą wszyscy, bo i stara królowa języka utrzymać nie umie nigdy, że król młody się żeni. Ztąd kochanicy troska sroga, bo że była i jest Augustową miłośnicą, o tem na dworze nie wątpi nikt. Królowa stara obsypuje ją łaskami, a przez nią syna przy sobie trzyma i zachować go się spodziewa.

— Niewątpliwa, iż plan taki jest osnuty — przerwał Maciejowski — łacno go i podpatrzeć i odgadnąć, aliści nie wiem, czy równie będzie lekko przywieść do skutku.

Zamilkli wszyscy.

— Na to królowa stara wcześnie obmyśla sposoby—odezwał się Górka—czasu ma dosyć.

Rozsiewają już wieści, że przyszła żona chorobę jakąś wiezie z sobą, nie dla czego innego, tylko aby do niej zrazili. Będzie to dobry powód aby oddalić Augusta, którego Dżemma pocieszać nie zaniedba..,

Westchnął biskup Samuel, ale wtem marszałek dworu otworzył drzwi jadalni i oznajmił, że wieczerza podaną była, i jakby dla niej wszedł też śmiejąc się brat

biskupa, a wszyscy razem, oprócz Strusia, który za chleb wieczorny podziękował, ruszyli do sąsiedniej sali.

Zdawna dwór biskupi krakowski, choć na nim siedział Oleśnicki i kardynał Jagiellończyk, takiego przepychu i świetności nie zaznał, jak pod ten czas za Gamrata.

Stara to i udowodniona prawda jest, iż ten co od kolebki nawykł do dobrego bytu, do dostatków, mniej do chlubienia się nim jest pochopnym.

O Gamracie mówiono, że w łapciach przyszedł z Podgórza, tak jak o Ciołku, że karczmarza czy szewca synem był, a oba oni bez wielkich zbytków się obejść nie mogli.

Nadworne straże, liczni komornicy, służba, aż do najmniejszego pachołka, jeżeli nie na codzień, to na uroczystości Gamratowi w takich strojach, zbrojach i przyborach towarzyszyli, iż gasili barwą swą i rynsztunkiem najmożniejszych domów poczty.

Prawda iż arcybiskupstwo razem gnieźnieńskie i biskupstwo krakowskie dzierżąc, dwa księżęce beneficya, mógł Gamrat starczyć na przepych książący i sprostać choćby Tarnowskiemu, Górkom, Zebrzydowskim i najmajętniejszym magnatom.

Gdy u innych wspaniałość z wytwornym smakiem połączoną była, Gamrat się szczególniej w tem kochał, co oczy pospólstwa zachwycało i połyskiem je pociągało.

Więc od złotych bramowań były barwy, kapy na konie, złotem świeciły i szkarłatem kolebki, a i liczba pocztów dostojności odpowiadała. Dwór jego więcej na świeckiego pana orszak, niż na duchownego drużynę wyglądał—ale i on sam też; mimo najwyższego dostojeństwa w hierarchii kościelnej, o kapłańską mniej stał powagę.

Panem przedewszystkiem chciał być, przeto i dobroczynnym bywał po pańsku, bo gdy w podróż się puszczał po dobrach swych, szły za nim wozy odzieżą i chlebem dla ubogich naładowane. Sypał tak hojnie, jak mu zbierać łatwo było.

Nie poskąpiła natura szczęśliwemu dziecku wyposażenia, dając mu oblicze piękne, choć się ono już w tych leciech jego znacznie było rozlało i zgrubiały rysy—postawę przytem miał wspaniałą, wzrost i tuszę pańską. Z oczów tryskał rozum i przebiegłość, jako też umysłu był prędkiego i odgadywał łatwo to nawet, czego się nigdy nie uczył.

Głębokiej nauki Maciejowskich i Tomickich nie miał nigdy, ale dowcip żywy i giętki, słowo łatwe i rodzaj wymowy bujny i kwiecisty, który stał za mądrość.

Z ludźmi, których sobie pozyskać chciał, był tak miłym, a tak się szczerym zdawał, choć nim nie był, że za serce łatwo chwytał.

W środkach wcale nie przebierał, i życiu jego jawnie wiele zarzucić było można, lecz o to nie dbał. Namiętności swych poskromić nie umiejąc, gdyby nawet cnotliwego udawał, nikogoby nie oszukał.

Gdy z jednej strony obyczajów jego uniewinnić niepodobna było, miał jednak ten srom jakiś w sobie, że za nie płacić usiłował głośnemi czyny.

Sypał pełną garścią na ubogich, szczególniej tam gdzie nietylko lewica, ale tysiące oczów z prawej i lewej strony widzieć to mogło. Młodzieży do nauki pomagał chętnie, grosza na to nie żałując, dla przyjaciół hojnym był, a im głośniej mógł co sprawić, tem ochotniej robił.

Ale tak samo jak się z dobrem chwalił, tak złego nie ukrywał, i miłośnica jego z Sobockich Dzierzgowska, a jej rodzina, niemal na dworcu arcybiskupim zamieszkiwała. Wizerunek pięknej pani wisiał w pokoju na ścianie, a gdy się arcybiskup w podróż puszczał, szła za nim kolebka tej, którą żoną arcybiskupią publicznie zwano

Ona się też nie sromała być ulubienicą Gamratową, a ośmielać ją musiało to, że u królowej Bony na pokojach także włoskiego pędzla wizerunek jej widzieli wszyscy i stara pani mówiła o miłości arcybiskupa dla niej, jako o rzeczy godziwej i uprawnionej.

Zżymało się na to duchowieństwo, bo od Pawła z Przemankowa zgorszenia podobnego na stolicy krakowskiej nie widziano. Rozwięzłe życie wiódł kardynał Jagiellończyk, ale osłaniano je przecie, aby w oczy nie biło.

Gamrat się z niego prawie chlubił, a zwano to z przekąsem «włoskim obyczajem.»

Pospolicie, gdy królowa stara na zamku krakowskim mieszkała; Gamrat jej nieustannie bywał potrzebnym. Obejść się bez niego nie umiała, i do rady i do wykonania służyć musiał, więc znaczniejszą część dnia spędzał na Wawelu i późno powracał.

Ale rzadki dzień się obszedł potem bez nocnej biesiady, bo biskup i jeść dobrze i pić lepiej jeszcze lubił, a gdy jadł lub pił, nigdy sam nie siadł do stołu, towarzystwem się otaczając wesołem, ludzi coby go zabawić mogli i dobrej myśli przyczynić.

Przy owych tedy sławnych Gamratowych wieczerzach, które letnich dni nieraz trwały do poranku, brano na zęby wszystkich, co do obozu królowej nie należeli, a słowo grube i żart plugawy nie były nowiną.

Na niczem tym biesiadom nie zbywało, cokolwiek rozbudzić i rozochocić mogło, ani na trefnisiach, ani na muzykantach, ani na pochlebcach dworujących faworytowi, tylko na pomiarkowaniu i skromności.

Niewiastom też z panią Dzierzgowską wstęp nie był wzbronionym, choć duchowni u stołu przeważali liczbą.

Lecz kto z nich u Maciejowskiego bywał, ten u Gamrata nie postał, i nawzajem. Gdy zmuszony czasem profesor akademii prałat jaki u stołu zajął miejsce, przed końcem uczty się wynosił, bo im ona dłużej się ciągnęła, tem swawola była większa.

A taka jest moc nieszczęsna władzy, znaczenia i wszelkiej siły, że choć sam Gamrat w prawie powszechnej był ohydzie, kłaniało mu się możnych ludzi coraz więcej, gościło dostojnych coraz mniej tu spodziewanych.

I najgłośniejszych imion ludzie, jak Opalińscy, jak Kmita, nie uchylali się od arcybiskupa, bo co stało przy królowej, z Gamratem trzymać musiało. Szczególniej w ostatnich latach, gdy król coraz widoczniej starzeć począł; a żona nad nim przewagę coraz większą brała. Gamrat też rosnął i potężniał. Ani do urzędu, ani do ucha króla dobić się nie było można bez niego. Nie starczył datek, choć królowa sobie za wszystko płacić kazała — pokłon był niezbędnym.

A im kto dłużej kłaniać się nie chciał, tem potem niżej musiał.

Wieczora tego na dworcu się też gotowano z wieczerzą, gdy biskup powróci, i z otwartych okien kuchni aż na podwórze dolatywała woń zamorskich korzennych przypraw, bez których żadna się pańska kuchnia nie obchodziła. Smakowały one komu czy nie, dla samej swej ceny używać się kazały, aby okazano, że stać na to było, by imbirem, szafranem, muszkatelą, cynamonem półmiski zaprawne były.

Liczny dwór dosyć niesfornie kręcił się w podwórcu ze śpiewkami na ustach, pobrzękując na cytrach, odprawując gonitwy takie, jakby to nie był księży dwór i duchownego mieszkanie. Zbrojnej też gawiedzi więcej też oko spotykało niż sukni kapłańskich, które wielu rzucało lub tak przykrawywało, że się świeckim nadać mogły.

Synody wprawdzie ostro nakazywały i tonsurę, i sutanny, i bezbronność, i wyrzeczenie się świecidełek, lecz sam pasterz stroił się i nikomu nie ganił tego, kto mu przyjaznym był.

Kolebka Gamratowa jeszcze nie nadążyła z zamku, gdy Sobocki, którego naonczas na województwo gwałtem

siostra forytowała, wraz z nią zajechał kolebką szkarłatną ze świecidłami mosiężnemi przed drzwi główne.

Z jejmością razem (Dzierzgowską) przybywała druga jej towarzyszka i pokrewna, Sobocka także. Stryjeczny brat jej, który je przeprowadzał, stał na stopniu kolebki, trzymając się balasów, na których pokrycie spoczywało... Mężczyzna był tak urodziwy jak siostra, z której łaski u Gamrata był w zachowaniu, ale już wiekiem i życiem roztyły, ociężały i na twarzy zbyt rumianej, napiętnowany od napojów gorących. Stroił się jednak młodo, dbał o swą piękność i chciał się nią jeszcze chlubić.

Wysiadająca z kolebki Dzierzgowska, ulubienica Gamrata, cała w jedwabiach, łańcuchach, klejnotach, forbotach i plecionkach złotych, niewiastą była już przeszło trzydziestoletnią, pięknej kibici, kształtna, silna, rumiana i biała.

Twarz zalotnie uśmiechnięta, z wielkiemi oczyma szafirowemi, mówiła równie jak malinowe usta, że jejmość wesołe życie lubiła. Śmiała się wysiadając, gdy ją Sobocki wraz z nadbiegającym marszałkiem dworu na rękach niemal wynieśli z powozu. Tuż za nią szła druga Sobocka, piękna też, ale nie mogąca z siostrą się równać. Mniejsza od niej, pulchna, pełna, tylko białem licem i zbyt nastrzępionym odznaczała się strojem. Marszałek arcybiskupi w progu oznajmił, że arcybiskup dotąd z zamku nie powrócił.

— A!—zawołała śmiejąc się Dzierzgowska—gdyby Bona nie była starą i królową, byłabym zazdrosną. Godzina dobrze druga lub trzecia na zegarze... jużby doma dawno spocząć powinien.

Marszałek poruszył ramionami...

— Opóźnienie—rzekł cicho i poufnie—toby jeszcze nie było nic. Wiadomo, że nasz arcypasterz na swej głowie i ramionach tyle dźwiga, iż mu podołać trudno. Nic się nie dzieje bez niego. Gorsza to, że od dwóch dni

już chodzi ks. arcybiskup jak struty, z troską jakąś, której nic rozproszyć nie może. Jeszczem go takim nie widział nigdy.

Zmarszczyła się pani Dzierzgowska.

— Ale cóż mu się stało? — zawołała nasępiona — mieliżbyście nie wiedzieć nic?

Rozmawiając tak, weszli do wielkiej sali rzęsiście oświeconej, w której stół wspaniale był nakryty. Na drugim obok stały wyzłacane nalewki i takież misy, z ręcznikami szytemi bogato, przygotowane dla gości do umywania rąk przed wieczerzą. Służba w kącie gotowa była na skinienie.

— Nie wiecie nic?—zawołała Dzierzgowska.

Marszałek pokręcił wąsa i usta wydął.

— Nie tai nic przedemną—rzekł—ale tym razem nie mogłem się dowiedzieć co mu jest. Rzecz tem osobliwsza, że wczoraj kładąc się spać był najlepszej myśli, śmiał się, żartował. Położył się potem, a rano wstał blady, spotniały, zmęczony, do siebie niepodobny, tak, żem po pana Strusia lub innego lekarza chciał słać, ale ofuknął, że go nie potrzebuje, Przez cały czas gdy się odziewał, wzdychał zadumany, co nie jest jego obyczajem. Dziś we dnie jeszcze się te chmury nie rozproszyły.

Dzierzgowska i Sobocki spoglądali na siebie, badając się wzajem. Marszałek stał nasłuchując, czy kolebki arcybiskupiej, której oczekiwał, turkotu nie posłyszy. Ale cicho było dokoła, tylko z podwórca dolatywały śmiechy, śpiewki i gwary.

Upłynęło tak ze ćwierć godziny w oczekiwaniu, gdy w ostatku zatętniało w dali i marszałek naprzeciw pana swojego pośpieszył razem z Sobockim, a dwie kobiety same w sali pozostały, zbliżając się tylko nieco ku progowi. Pochodnie mignęły u okien, arcybiskup przybywał.

Po chwili zjawiła się piękna jego postać we drzwiach, ale tak zasępiona, z wyrazem takiej trwogi jakiejś i srogiego niepokoju na twarzy, iż pani Dzierzgowska się przelękła.

— Co wam jest?—zapytała żywo.

— Co mi jest? — butnie odparł arcybiskup, zmuszając się do uśmiechu—a któż wam mówił, że mi się co stało?

— Z twarzy to widać.

— Lica kłamią podczas jak i usta — zawołał Gamrat.—Zmęczony człek wydaje się zatroskanym, znużony—smutnym.

W chwili; gdy arcybiskup do sali jadalnej wchodził jednemi drzwiami, drugiemi z bocznych komnat już na niego oczekujące zwykłe codzienne towarzystwo cisnęło się tu także. Duchowni strojni jakby niemi nie byli, świeccy po włosku, po usarsku, po węgiersku, po niemiecku poubierani, dwa karły, trefniś, wszystko się to razem wtoczyło.

Marszałek, który rozkaz już odebrać musiał, natychmiast misy na stół przynosić kazał, a Gamrat już szedł do nalewek, któremu wodę chłopięta na ręce zlewać poczęły. Zatem i paniom i innym gościom podstawiano misy i podawano tuwalnie.

Gwar wesoły rozszedł się po sali oświetlonej i błyszczącej od sreber i szkła Weneckiego. Wszyscy jednak ku arcybiskupowi spoglądając widzieli zarówno, że nie takim przybywał jak zwykle. Zły ten humor powszechnie przypisywano temu, że i królowa stara i Gamrat pobici zostali w sprawie małżeństwa młodego króla.

Żeniono go pomimo nich, zapowiadały się burze i ciężkie walki.

Gdy Gamrat zajął swe siedzenie, obok którego po obu stronach Dzierzgowska i Sobocka się umieściły, a inni też wedle dostojeństwa krzesła zasiedli, zapach polewki rozszedł się po izbie, i słychać było przez czas jakiś tylko brzękanie łyżek i dźwieczenie mis, potrącanych niemi.

Arcybiskup, ledwie tknąwszy jedzenia, porzucił je, nalać sobie kazał wina, wypił nie mieszkając, i siadł oparłszy się na ręku.

Nawykli przy biesiadach widywać go zawsze rozbudzonym, do wesela powołujacym, ochoczym, zdumieni potrącali się łokciami.

— Co mu to jest?

Na to pytanie nikt nie umiał odpowiedzieć, bo takim go nigdy nie widziano, takim on nigdy nie bywał.

Dzierzgowska cicho badać go zaczęła. Spojrzał z góry na nią, chciał się łagodnie uśmiechnąć, lecz skrzywił się tylko i rzekł:

— Źle się czuję na zdrowiu. Sam nie wiem, co mi jest. Do melancholii nie miałem nigdy skłonności, ani mnie hipochondrykiem kto widział, raczej cholerykiem niekiedy. Przejdzie to wszakże i zwolna się zatrze. Bądźcie wy dobrej myśli, abym ja z niej się cieszył, gdy własnej nie mam.

— Mówicie tak — odparła Dzierzgowska czule — dobre to dla drugich nie dla mnie, która ma to szczęście dobrze was znać. Strapienie jakieś wam dolega, a ciężkie nad miarę być musi, gdy tak widocznem się stało.

Westchnął Gamrat nic nie odpowiadając.

Więc i Dzierzgowska, Sobocki i marszałek i wszyscy ci, którym szło o to wielce, aby wesołym pana widzieli, poczęli szeptać, krzątać się, różne wymyślając sposoby.

Wystąpił tedy włoski lutnista i pobrząknąwszy o struny, na ławie pod oknem zajął miejsce, śpiewać poczynając pieśń starą, którą arcybiskup lubił, bo mu młode lata w Rzymie przy Ciołku spędzone przypominała. Spojrzał Gamrat ku lutniście, czoło mu tęsknota jakaś oblała... i zasłuchał się w pieśni.

Nie rozjaśniło mu się oblicze.

Skończył śpiewać lutnista, któremu kubek podał sam Gamrat dziękując, a przy stole cisza panowała. Ci, co zwykle tu rej wodzili, dziś się czuli bezsilni.

Wystąpił z kąta trefniś, którego Pokrzykiem zwano, co znaczy toż jak włoska: Mandragora, upatrywano

bowiem w niezgrabnej jego postaci jakieś z dziwaczną tą rośliną podobieństwo.

Krzywy, na obłączystych nogach, garbaty szpetnie, z głową jak garnek ogromną i niekształtną — Pokrzyk słynął jeśli nie z dowcipu trefnego, to z cynizmu wielkiego, który też nazwisko mu nadane usprawiedliwiał.

Zbliżywszy się do stołu, Pokrzyk rozpoczął błaznowanie... śmiech obudził w kilku, ale Gamrat nie zdawał się go ani słyszeć ni rozumieć. Napróżno się wysilał na coraz śmielsze wybryki, wszystkie pozostały bez skutku.

— Co ci ojcze nasz dobry? — spytał, niemal pod łokieć mu się wciskając.

— Chciałżeś, abym jak ty szalonym był?—zapytał Gamrat.

— Krzta szaleństwa i rozumnym mężom nie szkodzi — odparł Pokrzyk — zwłaszcza przy biesiadzie.

Ano, patrzcie, nietylkoście wy smutni, ale wszyscy pociemnieli... tak jak gdy słońce zajdzie, a mrok padnie na ziemię.

Arcybiskup ręką rzucił, a potem nią czoło znużone potarł i od trefnisia się odwrócił.

— Hm!—rzekł Pokrzyk na ucho Dzierzgowskiej— rychlej wy niż ja poradzicie na melancholię, ja ręce umywam...

I od stołu odstąpił.

Ten i ów z gości, zwłaszcza ci, co więcej w dowcip swój ufali, poczęli się z tem i owem wyrywać głośno, sądząc, że chmurnego i zadumanego rozruszają. Nie pomogło nic.

Wieczerza owa, co miała podochocić wszystkich, zeszła posępnie, a pod koniec jej czoła się wszystkim pofałdowały i gdy znowu do mycia rąk przyszło, milczenie panowało trwożliwe.

Nawet dla Dzierzgowskiej Gamrat nie miał słówek tych słodkich, któremi ją był zwykł karmić.

Zaraz więc, po krótszej niż zwykle biesiedzie, po-

częli się goście mieć ku wyjściu. Ten i ów żegnał się i znikał, rada nie rada Dzierzgowska z siostrą pożegnały Gamrata, który ich nie wstrzymywał, i do kolebki siadły.

Sobocki tylko pozostał, odprawując je, z mocnem postanowieniem wybadania arcybiskupa i wyjścia z tej trwożliwej niepewności, w jaką go niezwyczajne zasępienie jego wprawiało.

Gdy kobiety odjechały, goście się rozeszli, a Gamrat sam został z domownikami i Sobockim, skinął na niego i z komnat pustych przeprowadził za sobą do komórki zacisznej, małej, która do sypialni przytykała.

Ulubione to było jego gniazdo, do którego tylko najpoufalsi przystęp mieli; całe kobiercami wysłane, dokoła miękką szeroką obwiedzione ławą, zaciszne, wygodne i obcym nieprzystępne.

Arcybiskup zajął tu miejsce na rozłożystem siedzeniu, które tak urządzone było, że na niem położyć się mógł, zeprzeć i jak chciał umieścić. Sybaryta tylko mógł podobne wymyśleć.

Obok pod ręką stało zawsze na nizkim stoliczku wszystko, czego tylko przy spoczynku pożądać było można. Dzban z wodą zimną, nalewki z winem gotowanem i surowem, łakocie różne i owoce w cukrze kandyzowane.

Sobocki zajął miejsce nieopodal od niego.

— Pietrze — rzekł do niego poufale, gdyż byli z sobą jak bracia i wzajem tajemnic nie mieli — drugim sobie mów co wola twa, a no mnie tem się nie zbędziesz. Coś cię dotknęło okrutnie, nigdym cię takim nie widział.

— Zaprawdę — westchnął Gamrat — bom nigdy takim nie był!

Zamilkł krzynę i mówił dalej.

— Niemałom żył, a tego, co mi się przygodziło dziś nocą, nie doświadczyłem nigdy. Dlatego zbliżanie się godziny nocnej tak mnie trapi i przeraża.

— Nocą? — podchwycił niespokojny Sobocki.

Gamrat skinieniem głowy to potwierdził.

— Idź — rzekł — opatrz drzwi, aby nawet z domowników moich nikt nas nie podsłuchał. Przed tobą mogę, przed nikim innym z tegobym się nie potrafił spowiadać dla sromu.

Znasz mnie, że ducha mężnego mam, a zmogło go.

Poszedł natychmiast Sobocki za drzwi na oględziny, i prędko niespokojny powrócił.

Siadł naprzeciw Gamrata, w twarz jego wpatrując się z trwoją.

Arcybiskup milczał czas jakiś, odetchnął potem ciężko i cichym głosem tak opowiadać zaczął:

— Znałeś Kurosza? Wiesz jak blizki był sercu mojemu. Pierwszy to człowiek, który do mnie przystał, gdym maluczkim był, i został mi wiernym do zgonu.

Płakałem po nim, jak nigdy po nikim jeszcze.

Pomnisz co to on za życie prowadził i czasu peregrynacyi swych za granicą, i powróciwszy do kraju. Tak zuchwałego hulaki a zawadyaki nie wskaże mi nikt drugiego. A życia zażywał pełną... Gdy zmarł, już pewnie nie zostało nic na tej ziemi, czegoby nie sprobował, z czemby się nie zmierzył, czegoby nie zakosztował choć zakazanego. A co zakazane owszem najlepiej mu smakowało.

Dość powiedzieć: Kuroszem był... bo drugiego takiego, sądzę, nie znajdzie ani u nas, ni w żadnym kraju.

Do dziś dnia go opłakać nie mogę. Ten mi jeden przyjacielem był, choćbym krwi od niego zażądał.

Westchnął Gamrat.

Sobocki słuchał nie pojmując jeszcze, jaki zmarły Kurosz ze smutkiem Gamrata mógł mieć związek, gdy ten dalej ciągnąć począł.

— Wczoraj do łoża szedłem jako zwykle, wesołej będąc myśli, nie mając powodu do żadnej trwogi ani troski. Z zamku wyjechawszy, przetrząsałem w głowie

wszystkie środki, jakie stara królowa zwierzyła mi, że ich przeciw młodej pani zażyć zamierza.

Położyłem się rozmyślając o nich, a nie wątpiąc, że wszystko się uszykuje gwoli naszej.

Zasnąłem twardo.

Nagle zdało mi się jakbym oczy otwierał, choć powieki miałem zawarte... W sypialni światło jakieś, jakby od ognia dalekiego łuna odbita, się zjawiło.

Na tle jego stał ktoś naprzeciwko mnie, którego mi rozpoznać było trudno.

Tymczasem światło rosło i wkrótce rozjaśniło tak całą komnatę, żem wszystko w niej mógł rozeznać, i tego, który naprzeciwko mnie stał, wpatrując się we mnie, poznałem też... Kurosz.

Osobliwa rzecz. Pamiętałem we śnie, iż go między żywemi nie ma, a zjawienie się jego wcale mi się nie wydawało dziwnem.

— Miły mój Kurosz — odezwałem się — pozdrawiam cię. Jako tam dzieje się z tobą?

Patrzał na mnie długo z politowaniem jakiemś, nim mówić począł.

— Bogu miłosiernemu i przenajświętszej Matce jego niech będą dzięki — rzekł. — Tam jestem, gdziem się dostać nie spodziewał.

A gdym milczał zdumiony bardzo, ciągnął dalej.

— Życie moje pomnisz, boś jego świadkiem był. Zbluzgany i obłocony niem zszedłem z tego świata, a jeśli mnie ciężar grzechów nie miał na dno pchnąć piekielne, długa i sroga czekała pokuta.

Tego słowo ludzkie nie wyrazi, jako burzliwym wirem porwana dusza moja z ciała wyszła, przez ciemności straszne lecąc ku pożarnemu morzu płomieni.

Wtem zaszeleściły skrzydła aniołów, pęd się ten powściągnął, i jasna biała światłość oblała mnie. Po nad sobą ujrzałem gwiazdami siany płaszcz, który spada z ramion białej, w jasności wielkiej stojącej dziewicy..

Maryi. Chwyciłem rąbek jego i natychmiast pierzchnęło co mną rzucało. Lekki stałem w powietrzu, a głos z góry dał się słyszeć:

— Ten czci mojej był obrońcą.

Naówczas przyszła mi na myśl przygoda owa w hiszpańskiej ziemi, gdym pijanego a zuchwałego heretyka, który przeciw Matce Bożej bluzgał słowy wszetecznemi, na rękę wyzwał za to i ubiłem go.

Skrucha za grzechy wstąpiła we mnie tak potężna, iż naraz całego przeistoczyła. Czułem jako opadały grzechów mych sprośne łupieże i trądy, jakom znowu do dziecinnej powracał niewinności.

Tak mówił Kurosz, a słowa jego przejmowały mnie grozą wielką, trwogą i bólem.

— Słuchaj Gamracie — dodał — żywota masz jeszcze dwie lecie i kilka miesięcy. Pójdziesz potem rachunek zdać z niego. Jakom cię niegdy miłował, tak cię dziś żałuję. Czas jest kajać się, czas upamiętać, pora pokutować... Pomnij na to, a nie wątp o miłosierdziu Bożem.

To gdy rzekł Kurosz, jakby we mgle się rozpłynął i z oczów mi zniknął. Światło w izbie zagasło, a ja dopiero teraz rzeczywiście powieki podniósłszy, przebudziłem się.

Cóż chcesz, Sobocki, ze snem tym chodzę dzień cały, pozbyć się go nie mogąc. Widzę ciągle przed oczyma, słyszę głos jego.

Sobocki, który z natężoną słuchał uwagą, nie rzekł nic zrazu.

— Cóż o tem sądzić — odezwał się pomyśliwszy trochę.—Sen to jest jako drugi: sen mara, Pan Bóg wiara, o czem za dnia człowiek myśli, to mu nocą powraca mimowoli. Za duszę Kurosza mszęby odprawić.

— On jej już nie potrzebuje — odparł Gamrat.

— Albo... albo... — wtrącił Sobocki. — Ja to mam za ułudny sen zwykły.

— A ja za widzenie prorocze—przerwał Gamrat.— Dwie lecie i para miesięcy... a potem...

Spuścił głowę.

— Za pół wieku grzechów, mało czasu na pokutę!...

— A! — zawołał Sobocki — nie jesteście więcej grzeszni nad innych, a Pan Bóg tym co brzemiona wielkie noszą, więcej niż innym przebacza.

Godzina była spóźniona; Gamrat podumawszy szepnął, znak dając Sobockiemu, aby się zbliżył.

— Słuchaj bracie, trwogę mam przed tą nocą, a nikomu się z nią zwierzyć nie chcę. Śpij obok w drugiej izbie, raźniej mi będzie, gdy nie sam pozostanę.

To mówiąc powstał Gamrat i drzwi od sypialni otworzywszy, klasnął w dłonie na służbę.

Sobocki, mało co odzienia zrzuciwszy, pas odpiął i legł na ławie.

Jak noc upłynęła, powiedzieć potem nie mógł, nie pamiętał nic. Gdy pozostał sam, było mu jakoś nie ochoczo i sen z powiek uciekał, więc ze dzbana wina sobie korzennego spory kubek nalawszy, jednym łykiem go wypróżnił, poczem gdy zasnął, nie zbudził się aż o dniu białym.

Arcybiskup stał przed nim już odziany, ale z twarzą od wczorajszej nielepszą.

Zapytał go po cichu Sobocki, czy noc spokojnie przeszła? — na co nie otrzymał odpowiedzi, ale blade i zachmurzone lice świadczyło, że wczorajsze wrażenie jeszcze się nie zatarło.

Następnego dnia, król stary wcześnie się udał na spoczynek, czując znużonym; poufała gromadka domowników około Bony, na jej pokojach gwarzyła jeszcze.

Izby te, które Włoszka zajmowała, choć im na wygodach nie zbywało, dziwnie się wydawały ogołocone

i jakby na czas krótki tylko przybrane w to co było niezbędnem, przepych królewski łączył się z zaniedbaniem jakiemś i skąpstwem dziwacznem. Gdyby Bona, co się trafiało często, wyruszyć ztąd chciała do Chęcin lub jednego z zamków swych i posiadłości, łatwo było ztąd zabrać wszystko i nie zostawić nic nad ściany nagie. Cały sprzęt kosztowniejszy był przenośnym. Pewien nieład i pośpieszne a obojętne urządzenie na prędce było widocznem.

Królowa razem skąpą była, chciwą i o powagę majestatu swego zazdrośną — usposobienie to dawało się poznać w tem co ją otaczało.

Komnata, w której przyjmowała, dość oszczędnie była oświeconą, służba wieczorem już powszednie szaty przywdziała, a karły i panny, które się posługując pokazywały, niemal ubogo były przyodziane.

Obok królowej przy stole, Gamrat, wyrocznia jej, pierwsze miejsce zajmował; reszta mężczyzn, między któremi widać było Opalińskiego, ochmistrza młodego króla, w drugim końcu rozmawiała pocichu. Około arcybiskupa troskliwie chodziła królowa, od dni kilku widząc go jak nigdy ponurym i zasępionym.

Nawet po tej sławnej scenie publicznej, tak upokarzającej, gdy Gamrata do tego przywiedziono, że wstał dziękować za biskupstwo, którego nie miał otrzymać, i musiał zawstydzony siąść, aby Chojeńskiemu ustąpić, nie był tak w sobie zanurzonym i przybitym. Zwykle przynosił z sobą męztwo, uspokajał, rozweselał niecierpliwiącą się panią, teraz ona jego musiała ośmielać, dodając mu odwagi.

Wymówny i wielomówny, jakby się wyczerpał, siedział tego wieczora milczący, blady, drżący za każdym szelestem, a przyczyny Bona dobadać się nie mogła. Była tem widocznie podrażnioną, wszystko co się opierało, zawsze gwałtowny jej temperament wszelkiemi sposobami podbić, ujarzmić, przełamać usiłował.

Mściwa, chytra, przewrotna, nie miała powściągliwości i panowania nad sobą, gdy szło o pokrycie uczuć. Z trudnością przychodziło jej coś ukryć w sobie... wybuchała, aż do szału się unosząc, choć ją to zdradzało i narażało na szyderstwa nieprzyjaciół.

Tak samo postępowała z mężem, gwałtownością zdobywając wszystko; tak samo z synem, tak z innemi. Potrzeba było ostateczności, najwyższego niebezpieczeństwa, aby się potrafiła na krótko poskromić. Naówczas milczała, zacinała usta, próbowała kłamać, ale tak niezręcznie, iż każdy zgadywał co się w jej duszy działo. Wszystkie środki dobre dla niej były, gdy szło o to, aby na swojem postawić, panowanie nad sobą i cierpliwość ze wszystkich przychodziły najtrudniej.

Gamrata smutek, zmiana humoru nagła, mocno ją dotknęły. Znała człowieka, nie mogło to być bez przyczyny. Badała napróżno. Gniew nią miotał już, bo miała przed sobą tajemnicę, a domysły ją przerażały.

— Mów, co ci jest?—nalegała na niego. — Trwożysz mnie. Sądzić muszę, że ukrywasz przedemną większą klęskę niż ta, którąśmy jawnie ponieśli.

Gamrat musiał w końcu usta otworzyć.

— Miłościwa pani—odezwał się—na tę cześć i poszanowanie, jaką mam dla niej, przysiądz mogę, że chwilowe strapienie, którego przemódz nie zdoławszy, przyniosłem je z sobą, nie tyczy się ani osoby miłości waszej, ani żadnej ze spraw ważnych, ale tylko mnie samego.

— Masz więc sprawy, które taisz przedemną? — odparła Bona nie ustępując.

— Dlatego tylko, iż małe są, liche, a uszu miłości waszej nie warte—rzekł biskup.

— A przeczże cię tak mocno obchodzą?

— Bom czasami słaby jak dziecko — rzekł Gamrat.—Łaski miłości waszej mnie popsuły.

Pomyślała chwilę królowa.

— Wiem już—odezwała się—pewnie Dzierzgow-

ska ci czem dokuczyła... Lecz niech mi się nie pokazuje na oczy! Niewdzięczną jest.

Gamrat nie stanął w obronie przyjaciółki, chcąc się w ten sposób zbyć natrętnego nalegania. Usiłował się otrząsnąć z czarnych myśli, co mu się nie powiodło; w ostatku wygadał się z tem, że przepowiednia krótkiego życia strwożyła go.

Bona wzięła to do serca...

— Sny są bałamutne—rzekła — najczęściej je na odwrót tłumaczyć trzeba... Na to zresztą są astrologowie, aby pewniejszego coś wywróżyli; ale pytać ich nie trzeba, bo człowiek potem trwoży się i ochota mu do wszystkiego odpada... nie myśl o tem. Ja—dodała zagadując żywo — o co innego musiałam mojego astrologa i doktora badać; chcę wiedzieć, co gwiazdy prorokują młodej królowej. Z Wiednia dostałam horoskop jej, Da Bari pracował już nad nim.

Gdy to mówiła, ciemne jej oczy złośliwą pałały uciechą.

— Nie długo cieszyć się nią będziemy—dodała— słabowita jest i wrażliwa... Narzucili nam ją gwałtem, niech się nie dziwią, że tu jej posłania na różach nie gotujemy. Mój syn się do niej przywiązać nie może, ja dopilnuję tego... Jednego jego mam, nie mogę narażać na to, aby obcując z chorą sam zdrowie postradał...

— Chora jest? — zapytał Gamrat.

Królowa dziwnie ściągnęła usta.

— Jeżeli chorą nie jest, to nią będzie — dodała cicho—a na to nie potrzeba ani filtrów zadawać, ani szukać sposobów mądrych. Dziecko wątłe, matka była słabowita... pieścić ją nie będziemy.

Mówiła przerywanemi słowy.

— Nie dopuszczę, aby syn mój żył z nią—powtórzyła dobitnie na wpół do samej siebie i całej myśli swej nie chcąc wypowiedzieć.—Król codzień na siłach upada. Syna muszę być pewną, abym moją władzę utrzymała.

Jeżeli kiedy, to teraz wszyscy mi potrzebni jesteście... rachuję na was, liczę na Kmitę.

Gamrat nieznacznie bardzo głową potrząsnął. Królowa to spostrzegła.

— Wątpisz o kasztelanie? — zapytała gorączkowo i ciekawie.

— Nie miałem dotąd powodu — odparł arcybiskup—niewątpliwie trzyma z nami, ale z nim jak z ogniem potrzeba się obchodzić ostrożnie. Ogień to jest, przy którym i ogrzać się można i oparzyć. Buta straszna, krew gorąca, życie gotów stawić jednej chwili za to, co jutro oknem wyrzuci. Wszelki opór go drażni. Któż przewidzi, co jutro mu w głowie zaświta... ambicya nienasycona.

— Możeż się skarżyć na mnie? — zapytała królowa. — Mimo wszystkich jego wybryków, wbrew królowi, z najwyższą trudnością go doprowadziłam do najwyższego dostojeństwa.

— Tak, a jutro mu wasza miłość będziesz musiała fraszki odmówić i dla tej fraszki stanie się nieprzyjacielem. Nic go to kosztować nie będzie.

— Ja tak czarno go nie widzę—przerwała Bona— nie miałam powodu uskarżać się na niego. Oprócz Kmity mamy wielu innych, a tych, których potrzebować będziemy...

Bona cynicznie uderzyła się po kaletce uwieszonej przy pasie i szepnęła:

— Kupię resztę!

Zdawała się być tak pewną siebie, że Gamrat nie śmiał jej przeczyć.

— Tych ludzi jak Maciejowski, jak Tarnowski — mówiła dalej — których pozyskać nie można, zostanie garść nieznaczna, ci groźnymi nam być nie mogą. Liczba zawsze przemaga...

— Młody król — wtrącił Gamrat.

— Bona mówić mu nie dała.

— Dotąd jest moim. Czuwam nad tem, trzymam

go przy sobie, pieszczę, dogadzam... Król stary dla niego surowy, królewscy stronnicy przeciwią się mu, wymagają rzeczy wstrętliwych, chcą go mieć rycerzem i wodzem. Obawia się ich, odstręczony jest i nieufny. Zresztą i on tu także...

Dodała wskazując na kaletkę.

— Nie dają mu dosyć... ja go żywię, ja mu pieniędzy daję na fantazye, a potrzebuje wiele, bo charakter ma szlachetny i upodobania pańskie. Od króla wraca zawsze namarszczony i smutny, przychodzi skarżyć się do mnie... wie, że staram się życie mu osłodzić. Każdy krok jego mi wiadomy, Opaliński o wszystkiem donosi... między sługami mam moich, staram się go otoczyć takiemi, którzy popsuć nie mogą.

Godzina była spóźniona, Gamrat posępny i nierozmowny wstał nakoniec znużony i całując podaną rękę królowej wyszedł, aby powrócić do siebie.

Troskliwy o niego Sobocki czekał w przedsionku.

Zwolna światła pogasły na zamku, ucichł ruch i straże tylko zwolna przechadzające się słychać było w mroku przy bramach i murach.

W tej tylko części zamku, którą zajmowała królowa, od czasu do czasu dawały się widzieć przemykające światełka, naprzemian ukazujące się w różnych oknach, niknące nagle i wracające pochwili, jakby tu życie nie ustawało.

Niespokojna, niezmordowanie czynna, podejrzliwa, zawsze coś mająca do spełnienia, co się tajemniczo i w ciemnościach dokonywać musiało, zdawała się nie usypiać nigdy, tak jak jej służba spoczynku nigdy nie miała. Wstawano tam, gdy wszyscy się spać kładli, zasypiano na chwilę gdy inni wsawali, a gorączkowe krzątanie się i niepokój, wszędzie otaczały Bonę.

Oprócz znanych ludzi co ją otaczali i któremi się posługiwała, nie było dnia, ażeby tu nowi, obcy przybywający z różnych stron świata się nie zjawiali. Włosi ze

wszystkich prawie państewek i miast. Niemcy, cudzoziemcy z zachodu, a teraz też Turcy i Grecy, z którymi Bona ukrywać się musiała, prowadząc politykę na swą rękę dla Izabelli w Węgrzech.

Pod różnemi pozorami, jako kupcy, jak mnichy zbierający jałmużnę na klasztory wschodu, zjawiali się tu wysłańcy z Konstantynopola, szpiegi i ludzie z listami.

Z mnogich majętności, które królowa trzymała w różnych częściach Polski, z jej księstw włoskich, ze wszech krajów świata krzyżowali się tu jej posługacze i pomocnicy.

Najpilniejszy nadzór nie mógł odkryć tych wszystkich nici tajemnych, jakiemi ona oplątywała starego króla, oszukiwała najbaczniejszych stróżów, częstokroć w niwecz obracała wszystkie zabiegi przeciwników swoich.

Skąpa i chciwa, tam gdzie było potrzeba szafowała pieniędzmi i rachowała nadewszystko na nie, rzadko się myląc w rachubie.

Zaledwie noc przeszła i na brzask się zbierało, najwcześniej też w części zamku przez Bonę zajmowanej ruch się dał uczuć i ludzie snuć zaczęli.

Królowa zaledwie zbudzona przyjmowała jednych w łóżku, drugich powstawszy z niego, nie tracąc chwili jednej. Zrana i wieczorami ułatwiały się te sprawy, których dzień i światłość nie powinny były oglądać.

Nieodstępna faworyta pani, jak ona niespoczywająca nigdy, na zawołanie ciągle przy niej, zjawiająca się na skinienie, była wychowana i ułożona przez nią do tej służby, do milczenia, do posłuszeństwa niewolniczego, dziewczyna Włoszka, którą zwano mniszką Maryną. Przydomek mniszki winna ona była czarnemu, niepozornemu, krojem niemal zakonnym ubraniu, i kwefowi, który nosiła, nigdy nie zmieniając tego stroju, i pokornej a skromnej, nic niemówiącej twarzyczce.

Mniszka Maryna nie opuszczała jej ani dniem, ani nocą. Obojętna na wszystko, dla wszystkich była to nie

już sługa, ale martwe jakby narzędzie. Na jej licu wyżółkłem rysów nieregularnych, które ją starą przed czasem czyniły, nikt nic wyczytać nie mógł. Były jak kamień niezmiennie jedne, bez wyrazu. W oczy nikomu nie patrzyła, ani sobie zajrzeć nie dawała. Mówiła rzadko i półsłowami tylko. Obawiali się jej wszyscy, nikomu się do siebie zbliżyć nie dawała.

Kiedy i gdzie odpoczywała mniszka Maryna, nikt nie wiedział; o północy równie jak nadedniem przychodziła na znak zawsze jednako, gotowa zawsze do posługi. Bona niepotrzebowała mówić z nią wiele, Maryna rozumiała jej wejrzenie.

Pod rozkazami tej sługi, acz niewidocznie, cały fraucymer królowej czuł się i zostawał.

Jedno słowo Maryny często stanowiło o niełasce i wygnaniu, a prosić jej o pobłażanie było próżnem.

Nie gniewała się nigdy, to jest nie okazywała nikomu gniewu, lecz mściwą była bez litości i nieprzebłaganą dla tych, co się jej narazili.

Do pomniejszych posług stało zawsze u drzwi kilka panien, a w izbie w kącie para karłów. Nocą i dniem ktoś zawsze czuwać musiał w antykamerze, ktoś na posyłki gotów był, bo w godzinach najniezwyczajniejszych królowa wydawała rozkazy, które bez zwłoki spełnione być musiały.

I następnego poranka, nim około komnat starego króla życie się powoli objawiać zaczęło, a stróże cicho wymiatający korytarze, drzwi otwarli na krużganki, u królowej paliły się światła, i Bona w krześle ostawionem poduszkami, nogi sparłszy na podnóżku, przy stole czytała papiery, które czekały od wieczora i te które Maryna rano jej przyniosła.

Cicho przesuwali się już w ciemnościach ludzie do tego dworu należący.

Pierwszym, który nie pytając otworzył drzwi i wsu-

nął się do izby, był lekarz zwykły Bony, Jan Antonio z Maceraty, Włoch i sługa jej zaprzedany.

Doktorów kilku i astrologów miała przy sobie Bona, Jan Antonio był jeśli nie najcudowniejszym, to tym, który ją znał najlepiej i najzręczniej obchodzić się z nią umiał.

Bona miała w nim zaufanie, chociaż i on, gdy lekarstwo dać musiał królowej, podlegał temu prawu co inni: sam wprzódy zmuszony będąc się go napić, aby nie było trucizną.

W obawie o swe życie posądzała nieprzyjaciół, że na nią czyhali. Nie zrzucała też z palca i z piersi kamieni i amuletów, które wedle ówczesnych przekonań antidotami przeciwko truciznom być miały.

Jan Antonio był mężczyzną w sile wieku i czystej krwi Włochem, z tą fizyognomią ruchomą, pełną wyrazu i życia, z temi gestami dobitnemi rąk, głowy i całej postaci, od których Włochom wstrzymać się tak trudno. Zwano go na dworze pospolicie Maceratą, a słynął z niezachwianego dobrego humoru, którego nie mając często, silił się zręcznie z nim popisać. Obracać zwykł był w żarty najgroźniejsze rzeczy, o tyle, o ile Bony wzrok pozwalał... Znał on swą panią tak dobrze, iż niemal z fałdów sukni mógł odgadnąć, w jakiem była usposobieniu.

Nim skłoniwszy się w progu doszedł do stołu, przy którym siedziała pani, Macerata już wiedział, że Bona była podrażnioną i niespokojną.

Trzymała w ręku rozłożony półarkusz papieru, którego zgięcia, listu się kazały domyślać. Spojrzała nie rzucając go na Maceratę.

Nic nie mówiąc ujął podaną mu rękę i chwilę potrzymał. W milczeniu popatrzył na język i skłonił się.

Wyszeptane słowo cichutko miało oznaczać, że wszystko znalazł w jak najlepszym porządku. Bona milczała. Czekał stojąc rozkazów. Rzuciła papier na stół.

— Giovantonio—odezwała się — pilno mi czuwaj nad Dżemmą. Jestem o nią niespokojna.

Macerata głowę pochylił.

— Zdrowa jak rybka—rzekł pokazując zęby białe.

— A czyni się chorą?—przerwała Bona.

— Kaprysy rozpieszczonego dziecięcia—rzekł lekarz.

— Którym do czasu dogadzać potrzeba — szybko dodała Bona.

Macerata dał do zrozumienia miną, iż doskonale wiedział o co chodziło.

Królowa palec przyłożyła do ust.

Włoch nachylił się ku niej i szeptać coś począł.

Wtem w przedpokoju ledwie dosłyszany szmer pochwyciło ucho starej pani, wyprostowała się i Maceracie wskazała drugie drzwi do wyjścia, w których za kurtyną blada twarz czujnej Maryny się pokazała. Cichemi kroki wyniósł się na palcach idąc Giovantonio.

Maryna podbiegła ku drugiemu wnijściu, uchyliła drzwi, i w nich ukazał się słusznego wzrostu mnich w czarnych sukniach zakonników św. Franciszka. Czarny, bujny włos wieńcem okalający mu wygoloną nieco głowę, wielkie oczy wypukłe, twarz rysów pięknych, ale zbyt grubo wyciosanych, szerokie usta z wargami mięsistemi, rozumnego ale namiętnego zapowiadały człowieka. Pokory tej i uniżoności, jakiemi odznaczali się mnisi tej reguły, wcale w nim widać nie było. Wchodził śmiało i pewien siebie.

Królowa nie ruszyła się na powitanie i nie okazała mu zwykłego dla duchownych, będącego w obowiązku uszanowania. Ukłonił się kilka razy zbliżając ku niej, na co ledwie skinieniem głowy odpowiedziała.

Maryna już w drugich drzwi zasłonie znikła, gdy się do stołu przybliżył.

— Padre Francesco — odezwała się Bona — dlaczego tak was dawno na zamku nie było?

I nie dając mu się tłumaczyć, niecierpliwie ciągnęła dalej.

— Wiesz, prosiłam was, abyście mi młodego króla zabawiali. Wiesz jak go wasze kościelne te kwestye zajmują, jak rad czyta i słucha o nich. Powinniście mu dostarczać ksiąg, starać się go rozrywać waszą rozumną rozmową...

— Miłościwa pani — odparł ojciec Franciszek Lismanin — nie jestem na dworze zbyt dobrze widzianym przez duchowieństwo polskie, sarkają na mnie, podejrzywają nawet o herezyą.

— Co cię to ma obchodzić — zawołała Bona — nie powinieneś się ani lękać ich, ani zważać. Arcybiskup Gamrat obroni was zawsze.

Lismanin głową pokręcił.

— Szanuję Jego Eminencyę — rzekł — ale w tych sprawach, gdy o herezyę chodzi, obawiam się jej... Któż tu w Polsce inkwizycyę tak surową zaprowadził? kto dał spalić staruszkę Malcherową, która nie wiedziała sama co plotła?

Bona poruszyła ramionami.

— Gamrat zrobi co mu każę — rzekła. — Młody król właśnie te wasze drażliwe kwestye śledzi i niemi się zajmuje... on przecież was nie zdradzi.

— Tak — ale mury mają uszy — rzekł Lismanin.

— Boisz się aby i ciebie nie spalono? — rozśmiała się Bona, ruszając ramionami. — Proszę cię, otrząśże się z tych dziecinnych postrachów. Bądź dzisiaj u młodego króla, potrzebuje roztargnienia... Przynieś mu jakie księgi nowe... Kocha się w nich.

Lismanin słuchał nie odpowiadając.

— Po księgi — dodał po chwili — należałoby właściwie jechać za granicę. Tu ich nie dostać, bo du-

chowieństwo polskie surowo czuwa i nad tem, co z Niemiec idzie, i cokolwiek bibliopole przywożą.

— Poślij kogo! — szepnęła Bona.

Lismanin ręce złożył.

— Nikomu, nikomu w tej sprawie zawierzyć nie można — rzekł pośpiesznie — o gardło idzie. Ja sam musiałbym się chyba ważyć, i to nie inaczej, jak polecenie mając królewskie, bo by mi celnicy na granicach zabrali co tylko drukiem pachnie.

— Pojadę, jeśli W. K. Mość rozkażesz — dodał.

— Nie teraz — szybko i kwaśno przerwała królowa i, rzuciwszy nań okiem, dokończyła:

— Idź dzisiaj do młodego króla!

Skłonił się mnich. Posłuchanie było skończone, franciszkanin wychodził pocichu. Zasłona ledwie za nim zapadła, gdy pięknej postawy, dorodny mężczyzna, typ prawdziwie polskiej krwi i wielkiego rodu, ukazał się w progu.

Spojrzawszy na tę twarz pogodną, jasną, na oczy śmiało spoglądające, na całe oblicze nacechowane odwagą i rycerskim wyrazem, zadziwić się było można, znajdując ją tu o mroku w komnacie starej królowej. Lepiej się dopiero wpatrzywszy w zwodnicze rysy, dostrzedz w nich się dawała skryta przebiegłość jakaś i udanie otwartości pokrytej butą szlachecką.

Królowa z przyjemnością wpatrywała się w piękne to męzkie oblicze. Nowy gość był ochmistrzem młodego króla, Opalińskim.

Przyciągnęła go tu do Bony w części ambicya wielka, która z jej pomocą spodziewała się zaspokoić, po części nieprzyjaźń z Maciejowskiemi i Tarnowskim różniąca.

Opaliński jawnie i skrycie służył Bonie, on jej donosił o każdym kroku syna, o każdej myśli, zamiarze, pragnieniu jego. Pomniejsza służba przekupiona pomagała jej do skontrolowania tego, co Opaliński przynosił.

Bona uśmiechnęła mu się wdzięcznie, dając ręką znak aby się zbliżył. Jako oznakę łask białe pulchne palce, okryte pierścieniami, wyciągnęła do pocałowania.

— Nic nowego u nas — odezwał się Opaliński — ale też nic złego. Król zdrów i chmury smutku powoli uchodzą. Staramy się go rozrywać i weselem naszem obudzać w nim myśl dobrą.

— Co robił wczoraj wieczorem? — spytała Bona.

Znakiem tylko jakimś niezrozumiałym, wskazując ręką odpowiedział Opaliński, i dodał prędko.

— Czekamy na wysłańca, który miał nam rzeźbione kamienie, zamówione we Florencyi i medale przywieźć. Niecierpliwie król ich wygląda, chociaż — rzekł ciszej — nie wiem, czy je będziemy mieli czem opłacić.

Królowej ta wiadomość nie zdała się być przykrą, uśmieszek usta jej przebiegł.

— A! tak — szepnęła — będzie się musiał uciec do matki, bo ojciec skarciłby go tylko surowo. Wie, że na mnie rachować może, choć i mnie bardzo jest ciężko. Moi rządcy i dzierżawcy źle się wypłacają. Pieniędzy niema, a rachunków podostatkiem!

Opaliński złożył papier na stole, cichym szeptem go objaśniając. Bona włożyła go za pas sukni... krótkie posłuchanie się skończyło.

W oknach coraz jaśniejszy dzień przeglądał z za zasłonek, dzwony w katedrze wołały na ranne nabożeństwo, na zamku słychać było rżenie i tentent koni, turkot wozów, wołanie pachołków.

Maryna przyszła niepotrzebne już zabrać światło... a w progu pokazał się pokornie bardzo, do ziemi kłaniający się szlachcic, niepocześnie ubrany starą modą. Rękę, w której trzymał czapkę, tak wyciągnął, że nią prawie zamiótł ziemię.

Gdy podniósł potem wygoloną głowę, nie śmiejąc przystąpić bliżej — twarz się ukazała ogorzała, wąsata, rysów pospolitych, ale energią napiętnowana... Pozdrowił

królowę po łacinie. Był to Stanisław Falczewski, rządca ówczesny Krzemieńca, który królowa trzymała.

Przyjeżdżał z pieniędzmi i raportem. Pierwsze już wczoraj oddał był do skarbca, drugi miał złożyć ustnie.

Począł więc od utyskiwania. Nigdzie i nigdy trudniej iść nie mogło, jak Falczewskiemu w Krzemieńcu. Wadzili mu tu wszyscy: mieszczanie, żydzi, sąsiedzi, duchowieństwo... Ponosił same klęski, nie mógł zapobiedz stratom, ledwie żyw już broniąc interesów swej pani, zwlókł się aby uniewinnić i prosić o pomoc, o listy królewskie, o większą władzę i t. p.

Całej tej mowy królowa wysłuchała spokojnie, nie okazując, aby ją bardzo poruszyła. Spoglądała to na Falczewskiego, który się wysilał na retorykę, to na posadzkę, a gdy nareszcie wyczerpawszy się skończył — zaczęła zadawać pytania.

Zdumiewać się było potrzeba tej pamięci, z jaką badała Bona o stan swych krzemienieckich posiadłości, i pan Stanisław nieraz, słuchając, powiódł ręką po czole, bo poty nań biły.

Królowa pamiętała o wszystkiem, o mostach, młynach, stawach, o swoich karczmach, o szynkach, o sporach granicznych, o najmniejszych gospodarskich szczegółach.

Falczewski ledwie na wszystko odpowiedzieć umiał i zająknął się nieraz.

Nastąpiły rozkazy i rozporządzenia, którym równie zdumieć się było można, tak rozumne były i obrachowane, aby stan posiadłości polepszyć.

Na różne pojedyńczych ludzi prośby i skargi odpowiadała w większej części odmownie. Falczewski nie mógł wyjednać wiele.

Królowa też czasu już nie miała na dłuższą z nim naradę, w drugich drzwiach czekały na nią córki, które przychodziły z rannem pozdrowieniem do matki, a godzina się zbliżała, w której Bona zwykle starego króla odwiedzała.

Ciszej, spokojniej było w komnatach, które Zygmunt zajmował. Około Bony wrzało nieustanne życie, tu wszystko obrachowanem się zdawało, aby sędziwemu panu pożądanego nie zakłócić pokoju.

Tam pośpiech widać było wszędzie, tu rozważną powolność. Na swych miejscach z rozpoczynającym się dniem byli dworzanie, urzędnicy, służba i ci, krórych król pierwszych mógł potrzebować.

Duchowieństwo w większej liczbie razem z świeckiemi panami dwór składało.

Cierpiący na bóle w stawach, na łamanie w kościach, znużony długiemi życia walkami, król był ociężałym i zobojętniałym, milczącym i smutnym.

Rzadko bardzo i to na małą chwilę uśmiech blady twarz jego zasępioną ożywiał.

W młodości już miała ona wyraz surowy, który z wiekiem i cierpieniem stał się prawie groźnym, choć natura łagodną była i dobrą.

Nigdy Zygmunt nie miał wymowy Olbrachta, ani żywości charakteru kardynała, teraz słowo dobywało mu się z ust trudno, krótkie i rzadko weselsze.

Ulegał Bonie, bo sił już w sobie nie czuł do walczenia z nią, a Włoszka aż do szaleństwa się posuwała, jeśli opór znalazła... i padała na ziemię krzycząc, aby na swojem postawić.

Widok też królowej teraz czynił na nim wrażenie przykre. Wiedział, że nigdy mu nic nie przyniesie dobrego, ale wymówki, wyrzuty, żądania lub narzekania na ludzi, których on znał najlepszemi przyjaciółmi swojemi.

Z obawą też wyglądał przyjścia—i szelest jej sukni jeszcze czarniejszą chmurą twarz jego posępną oblekał.

Lecz ile razy mocniej zachorzał, rozbrajała go Bona nadzwyczaj wielką troskliwością o jego zdrowie. Naówczas nocami nie odchodziła od jego łoża, sama mu podawała lekarstwa i pokarmy, żadną siłą od niego oderwać jej nie było można.

Wstał był król późno i z kapelanem odmówił zwykłe modlitwy, po których przybyli lekarze opatrzyć nogi, dowiedzieć się jak noc spędził... i przyniesiono ranną polewkę i śniadanie.

Król siedział jeszcze za stołem, na którym naczynia stały z resztkami jadła, gdy Bona, czarno ubrana, z głową zakwefioną ukazała się na progu.

Przyjście jej zawsze było znakiem dla służby i dworu, ażeby się oddalili i nie zjawiali chyba na zawołanie.

Często rozmowa ta ranna, z początku cicha, stopniami coraz głośniejsza, przeradzała się w tak krzykliwą i gwałtowną, że dworzanie truchleli o pana, bo po każdej potem odboleć musiał i godzinami siedział jak martwy, odrętwiały, milczący.

Poprzedzającego dnia królestwo źle się rozstali z sobą, Bona czyniła mężowi wymówki, podnosiła głos, rzucała się, zaciskała pięści, chwytała się za włosy, król milczący patrzał i chwilami mruczał: — Głupia (Fatua). Wyrzuty wszystkie tyczyły się małżeństwa z Elżbietą, którego nie życzyła sobie Bona, król obstał przy swojem. Rozeszli się nieprzejednani. Wieczorem króla chwyciły w nogach i stawach boleści, ale zakazał dać o tem znać Bonie; lekarz zwykły, Polak, Błoński go opatrzył.

I tego więc dnia spodziewać się było można burzy, wybuchu, wznowienia walki, chociaż ona już królowę do niczego doprowadzić nie mogła, bo układy ostateczne w Wiedniu zostały zawarte i na przyszłą wiosnę oznaczono termin przybycia młodej pani.

Znając niepokonany upór Bony, król z rezygnacyą wyglądał nowej napaści. Siedział ponury, spojrzał ku wchodzącej zimno, surowo i nie śpieszył jej pozdrowić.

W izbie, oprócz króla, znajdował się jeden stary jego sługa, Lula Skotnicki, który jeszcze czasy szczęśliwsze Barbary Zapolij, pierwszej małżonki Zygmunta, pamiętał, i kapelan ks. Słomka. Oba oni natychmiast się przez najbliższe drzwi wycofali. Małżeństwo pozostało same.

Stary oczekiwał już zgryźliwego jakiego słowa, gdy powtórnie wejrzawszy na królowę, spostrzegł na jej twarzy znany sobie wymuszony spokój, który wprawdzie nie obiecywał nic dobrego, ale chwilowe zawieszenie broni zapewniał.

Długie pożycie z tą kobietą nauczyło Zygmunta wszystkich jej podstępów wojennych, manewrów strategicznych. Gdy chwilowo tego co zamierzała do skutku przyprowadzić nie mogła, królowa wówczas przybierała tę upokorzoną postawę zwyciężonej, a choć udawanie przychodziło jej ciężko i nikogo właściwie oszukać nie mogło, oznaczało, że wyczekiwać postanowiła.

W tym stanie ciała i ducha, w jakim król się znajdował, i ten chwilowy spoczynek był mu pożądanym. Osłabły, rad był spocząć czas jakiś. Nie łudził się wygraną, bo znał nieprzyjaciela, lecz miło mu było nie słyszeć wrzawy i nie znosić nieznośnego krzyku.

Bona, jak gdyby o dniu wczorajszym zapomniała, zbliżyła się, kręcąc głową, sznurując usta, i cichym, złagodzonym głosem dopytując małżonka o zdrowie.

Wyciągnięte na podnóżku i okryte futrem nogi świadczyły już same, że był cierpiący. Zygmunt spojrzał na nie i wskazał ręką.

— Jak zawsze — rzekł — miałem nocą boleści w kolanach, w stawach, ale mi Błoński dał smarowanie, które ulżyło nieco.

— Dlaczegoż nie dali mi znać o tem? — żywo odparła królowa — jabym była sama dopilnowała... i przyprowadziła z sobą Maceratę.

— Nie potrzeba go było — rzekł Zygmunt.

— Wolisz swoich Polaków?—zaczęła Bona z przekąsem—choć to są zarozumiałe nieuki. Lecz my wszyscy Włosi straciliśmy pańską łaskę, a jednak powinniśmy byli zasłużyć na nią, bo, bez wymówki, wieleśmy tu przynieśli z sobą.

— A! nie przeczę! — odparł król z uśmiechem — wdzięczen jestem. Włosi się na mnie skarżyć nie mogą. Służyli mi, alem niewdzięcznym nie był.

Królowa siadła na krześle, sparła się na ręku u stołu, twarz starając uczynić smutną, cierpiącą, jakby zbolałą.

Natura jej gwałtowna nie dozwolała długo utrzymać się w mierze, musiała, choć z innego tematu, wznowić żale.

— Kraj ten byłby dotąd na pół barbarzyńskim — odezwała się — gdyby nie nasi budowniczowie, kamieniarze, artyści. Teraz on inaczej wygląda, dzięki Włochom.

— Włosi też twoi dość ztąd pieniędzy wynieśli — rzekł król — bo kazali sobie płacić dobrze.

— Zapracowali na to — odparła królowa.

Zygmunt rękę położył na stole, przebierać zaczął palcami po nim, wpatrzył się w podłogę i milczał. Ból w stawach nowy wycisnął z ust jego syknienie, królowa poruszyła się zaraz, dopytując czyby nie potrzebował czego.

— Nie, nie, przeszło to już — zamruczał stary.

Bona usiadła, milczenie panowało chwilę.

— Gamrat też chory czy nie wiem co mu jest — odezwała się po przestanku. — Na twarzy i humorze się zmienił, posmutniał, jakieś przeczucia krótkiego życia go opanowały.

Zygmunt brwiami poruszył i potrząsł głową.

— Gamrat? — powtórzył — ale nie stary wcale jest i życiem się nie zmęczył, chyba nadużyciem...

Królowa się zżymnęła.

— Zawsze te potwarze — odparła. — Zaprawdę nie gorszy jest od innych, ale wielu solą w oku. Naraził się i heretykom i katolikom, bo nam służył wiernie.

— My też jemu! — zamruczał Zygmunt. — Lepiej się nie obliczać, bo niewiadomo ktoby został dłużnym.

I jakby znużony już temi odpowiedziami, król na piersi zwiesił głowę. Bona znała go, że mówić wiele nie lubił. Dała mu spocząć nim się znowu odezwała.

— Cóżeście postanowili — rzekła — dla syna? Panowie litewscy ciągle się go dopominają, aby jechał do Wilna uczyć się rządy sprawować, ale zawczasu go zaprzęgać nie widzi mi się.

— W tem jesteśmy zgodni — odparł Zygmunt. — Później zobaczymy. Naprzód ożenić go potrzeba i widzieć jak się to stadło dobierze. Władzy rozdwajać nie myślę. Nie mam jej nadto, abym się nią dzielił. Na każdym kroku opór spotykam.

— Zbytnią powolnością ich rozzuchwaliłeś sam— rzekła Bona, — miałeś przykład na włoskich książętach wieln, którym miasta i patrycyusze z ludem także stawili opór nieraz; kilka głów spadło... i panowanie się ustaliło.

— Krwi rozlewu nie lubię — rzekł król krótko, poruszając głową znacząco — inny kraj, inny obyczaj. Polska nie Włochy.

— Widzi mi się, że tuby łatwiej jeszcze pożyć ich można — wtrąciła Bona — ale dziś zapóźno: kto zawczasu nie począł, porywać się później nie może.

Nie odpowiedział Zygmunt.

— A! to małżeństwo — wyrwało się jakby mimowoli starej pani, której oczy się zaiskrzyły i usta sfałdowały namiętnie — a! to małżeństwo. Napróżnom odradzała, próżno błagałam, twoi przyjaciele postanowili mnie na przekór.

— Wiesz, że to zdawna było umówione w Wiedniu. Byli dziećmi, gdyśmy ich zaręczyli — zamruczał król niechętnie — daćby już pokój zapóźnym żalom.

— A! wiem bardzo dobrze — poczęła ożywiając się Bona — że to dziś już wszystko próżne. Stało się, co się stać nie było powinno. Dajecie mu żonę, z którą on żyć nie będzie mógł.

Król spojrzał z rodzajem podziwienia.

— Mówiłam wam: to dziecko schorowane, wątłe, które odrazę nie miłość wzbudzić może...

Nie chcąc odpowiadać Zygmunt, niememi ustami poruszał. Zrezygnowany był słuchać wyrzutów i pogróżek, nie podsycając rozmowy o niemiłym przedmiocie.

Wszystko to już słyszał nie raz i nie raz odpowiadać na to był zmuszonym. Zadumany nie zważał nawet na sypiące się z ust Bony słowa, i królowa spojrzawszy na niego, przekonać się mogła, że był myślami gdzieindziej.

Nie wstrzymało ją to od tych narzekań, które, jak wczora, nie przerodziły się wprawdzie w krzykliwe i gniewliwe wyrzuty, ale niemniej dukuczliwemi były.

Król zdawał się wyglądać i czekać na coś, coby go wybawiło.

Bona w końcu umilkła, widząc niemożność wywołania sporu, od którego stary się bronił milczeniem.

Kilka spraw mniejszej wagi było na porządku dziennym. Zażądała podpisów na przywileje dla swoich miasteczek. Rów miała na Bar przerobić. Dla swoich przyjaciół chciała tytułów i urzędów. Zygmunt na wszystko przystawał. Małemi temi ustępstwami rad był pokój okupić. Zgadzał się, poruszeniem głowy tylko okazując, że się nie przeciwi.

Dnia tego nawet czynił zadość żądaniom daleko łatwiej niż zwykle — znużonym był.

Bona otrzymawszy co chciała, powstała z siedzenia, powtórzyła raz jeszcze, aby kanclerzowi i podkanclerzemu król listy wyprawić nakazał, i głową żegnając męża zdala, wyszła.

Na twarzy Zygmunta, gdy zasłona opadła za nią,

odmalowało się widocznie uspokojenie. Oddychał swobodniej teraz. Myśl starca pobiegła w przeszłość i łza zakręciła się w oku. Przypomniał sobie tego anioła, Basię swą, pierwszą żonę, z którą pożycie było tak szczęśliwe, którą kraj cały kochał z nim razem, a po zawczesnym zgonie dotąd opłakiwał.

Sam się widząc, ostrożnie dobył król ze stolika, w kształcie pugilaresu złożonej książeczki... otworzył ją i wpatrzył się w wizerunek Barbary. Łagodnie, smętnie ona też patrzyła nań z tego obrazka, na którym malarz wyobraził ją młodziuchną, taką jaka tu raz pierwszy przybyła, pokorną, pobożną...

Przez całe też życie nie zmieniła się dobra, pół święta pani, której modlitwom i postom przypisywano powszechnie zwycięztwo pod Orszą odniesione.

Jak anioł cicho, sypiąc dobrodziejstwy, łagodząc bóle, zapominając o sobie przeszła przez ten świat, nie skarżąc się nigdy i opuszczając go z modlitwą na ustach.

Po Barbarze niemiał męzkiego potomka, po cóż go naówczas panowie senatorowie zmusili wziąć drugą żonę? po co pięknością Włoszki i jej bogactwami ujęci posłowie tak mu ją zalecali?

Tak prędko owa dziewica pełna rozumu, nauki, nieporównanego wdzięku postaci, zmieniła się w zrzędnicę nieznośną, która i królowi i królestwu nie dawała pokoju.

Tak! ale ona dała obojgu tego upragnionego potomka płci męzkiej, w którym płynęła krew Jagiellonów i z niego rozrodzić się miała.

Westchnął Zygmunt, zaszeleściło około drzwi, schował prędko pugilares zamknięty, przeszłość szczęśliwa musiała pierzchnąć ustępując rzeczywistości.

W progu pokazał się ten sam Lula Skotnicki, stary, siwiejący już dworzanin królewski, który przed królową ustąpił. Zaglądał on do pana, czy nie potrzebował czego. Zygmunt zwrócił ku niemu łagodnie rozjaśnione oblicze.

— Lula — szepnął — zobacz czy niema ks. Samuela?

— Oddawna w kancelaryi czeka — odparł Skotnicki.

— Niech przyjdzie — rzekł Zygmunt.

Dworzanin pośpieszył z rozkazaniem i po chwilce ks. Samuel z wiązką papierów i pargaminów stał przed królem, który milcząco witał go poruszeniem głowy.

Zobaczywszy brzemię, które niósł podkanclerzy, uśmiechnął się brwi w górę poruszywszy.

— Jest co podpisywać miłościwy panie — zaśmiał się biskup, który na rogu stołu złożył listy i przywileje.— Poprzednicy miłości waszej nie zadawali sobie pracy rękę własną przykładać do listów, dość było pieczęci...

— Ha! — zaśmiał się król — trzebaż okazać, że król choć pisać umie.

I wskazał miejsce Maciejowskiemu, który nie śpiesząc do pracy spytał o zdrowie.

— Cierpiałem w nocy — rzekł — we dnie zawsze bóle mi folgę dają. Jesień nadchodzi, jest to pora w której najwięcej cierpię, trudno *senectus ipsa est morbus.*

— Pomnijcie, miłościwy panie, na dziadka waszego Jagiełłę — rzekł Maciejowski — krew macie i siłę jego, a ten do późniejszej starości zachował moc i zdrowie.

— Tak — odparł Zygmunt — ale żył inaczej. Jam może przeszedł go siłą, bom łamał podkowy w rękach i gniótł puhary srebrne, ale dziś już i spruchniałego kija bym nie skruszył.

Westchnął stary i zadumał się.

Nie mówili o tem więcej.

— Młodego (król czasem tak zwał syna) nie widzieliście? — zapytał Zygmunt.

— Od wczoraj nie — rzekł Maciejowski.

— Nie wiecie jak przyjął wiadomość o postanowionem małżeństwie? — dodał stary król.

— Wcześnie przeciwko niemu go starano się

usposobić — począł Maciejowski — trudno się spodziewać, aby temu wpływowi oparł się o własnej sile. Lecz rzecz to nie nowa. Narzeczoną swą zna z listów, wie że mu serce zawczasu przeznaczone przyniesie, że jest pobożnie przez matkę wychowaną. Nie daje nic znać po sobie... miłostki młode zapomnieć się muszą, aleby dobrze było zawczasu im tamę położyć.

Król począł się marszczyć.

— Jak? — spytał krótko.

— Ze dworu królowej oddalić miłośnicę—szepnął cicho Maciejowski.

Zygmunt oburącz głowę objął... nie mówiąc nic okazywał, jak wielką w tem widział trudność.

— Wydaćby ją za mąż wyposażywszy — dodał ks. Samuel — znajdzie się nie jeden, co się o ładną lalkę pokusi...

— Nikomu jej dziś nie dadzą—szepnął Zygmunt— nadto jest potrzebną. Musiałbym o nią rozpocząć wojnę.

— Nie moja rzecz intrygę zwalczać intrygą — mówił dalej, ciągle szepcząc Maciejowski — stan mój na to nie pozwala, charakter się tem brzydzi. Ktoś innyby to powinien dokonać i uwolnić nas od niej zawczasu.

Nie odpowiadał król długo, ale myślał zasępiony, westchnął razy parę i w końcu zamruczał.

— Na co się to zdało? alboż druga w jej miejsce podstawiona się nie znajdzie, gdy jej za narzędzie użyć będzie potrzeba?

Jest ich dosyć we fraucymerze, co się chętnie podejmą kusić...

Zamilkł.

Ks. Samuel, jakby zwyciężony tym argumentem, milczał także; ale myślał że popróbować usunąć tę, o której wiedziano powszechnie, iż młodemu panu najulubieńszą była, nie szkodziłoby jednak, wstręt miał wszakże do takich się uciekać sposobów, choć w poczciwej sprawie. Oręż to był nieprzyjaciół, nie jego.

Zwrócił się ku papierom i przerzucać je zaczął, przysposabiając się do poddania ich królowi, który już do blizko stojącego kałamarza i pióra sięgnął, aby się do podpisywania przysposobić.

Podkanclerzy czytał treść każdego dokumentu, a często nie potrzebował nawet do końca jej dopowiedzieć, bo Zygmunt dawał mu znać iż rzecz, o którą chodziło, pamiętał.

Dziwnem to było, że złamany na ciele i na duchu, często się zapominający w potocznych sprawach, gdzie o ważniejsze chodziło, budził się jakby z uśpienia Zygmunt i całą dawną żywość umysłu odzyskiwał.

Gdy niewieści krzyk i swar mu nie dokuczał, wracała pamięć, rozwaga, rozum — starość czuć mu się nie dawała. Lecz teraz były to błyski pogody rzadko trwające długo, każda waśń z Boną, każda przeżyta godzina jej wyrzutów, odbierały mu siły i pogrążały go w tej odrętwiałości, z której potem trudno mu dźwignąć się było. Naówczas wszystko przyjmował obojętnie, zimno, milcząco, zdając się mówić: Dziej się co chce! Opatrzność niech rządzi! Stanie się co jej wola!

Temi nawet słowy zniechęcony odpowiadał czasem ks. Samuelowi, wyrzekając się walki, z której nie spodziewał się wyjść zwycięzko.

Tym bezsilnym chwilom zobojętnienia, z których umiejętnie korzystała Bona, winna ona była wzrost swej władzy stopniowy, i zwątpienie ogarniało przyjaciół króla, przewidujących, że wkrótce wszystkiem ona jedna zawładnie.

Młody król mieszkał na zamku, choć ten nadzór nieustanny, na jaki go wystawiał pobyt pod bokiem ojca i matki, ciężył dwudziestokilkoletniemu panu.

Litwini domagający się oddawna, nalegający aby

go im dano na wielkie księztwo, mieli w nim chętnego ale milczącego sprzymierzeńca. Więcej swobody pragnął i wyrwać się był rad dawno z pod opieki rodziców.

Któż wie? król byłby zezwolił może, aby się zawczasu wprawiał do przyszłych rządów, aby pracował więcej a mniej się rozrywał, a królowa opierała się temu potajemnie, wymyślała niebezpieczeństw tysiące, była przeciwną ofierze choć najmniejszej cząstki władzy, którą całą sobie chciała przywłaszczyć.

Zabiegi o to czyniła tak skrycie, iż syn nie domyślał się w niej przeciwnika, widział go w ojcu.

Matka zresztą najczulszą była dla niego, ale chciała, aby wszystko co miał, otrzymywał z jej ręki, aby jej winien był wszystko.

Zygmunt August wychowany przez nią, choć miał kilku Polaków przy sobie, choć dwór jego z nich się składał, dzięki wpływowi i staraniom matki, wychował się raczej na książątko kosmopolitę, niż na polskiego tronu następcę.

Nawykły do pieszczot, elegancyi, ogłady włoskiej, do świata wytwornego, choć umysłowo rozwinął się jak najszczęśliwiej, umiał wiele — najmniej był rycerzem, tam gdzie przeważnie królowi nim być przystało.

Przepowiednia owa starego szlachcica, gdy z pierwszej wyprawy królowa strwożona doniesieniami zawróciła go do Krakowa — przepowiednia, iż na wodza i rycerza nie urośnie, w pełni się ziściła.

August lubił księgi, muzykę, sztukę, wszystko piękne i wytworne, żołnierska sprawa była mu jeśli nie wstrętliwą to obcą.

Do łowów nawet, tej ulubionej Jagiellonów zabawy, której tak namiętnie oddawał się Jagiełło, Kaźmierz, nawet stary Zygmunt — August nie czuł pociągu żadnego.

Pięknej i pańskiej postawy, oblicza poważnego i zawczesną jakąś tęsknotą łagodną obleczonego, miał w sobie wdzięk arystokratyczny krwi starej panów.

Jagiellońska dobroć łączyła się w nim ze Sforzów umysłową bystrością. Władzami ducha przechodził pewnie wszystkich swych poprzedników, lecz energii ich, siły, uporu mu brakło.

Matka zawczasu starała się go zmiękczyć, obezwładnieć, aby nim rządzić — powiodło się to jej w zupełności...

Były to zresztą ostatki może lat najszczęśliwszych życia Zygmunta Augusta, w których nic na nim nie ciężyło. Nie miał żadnych obowiązków... a matka starała się, aby wszelkie jego pragnienia młodzieńcze zaspokojone zostały...

Przysposabiał się do życia, nie przeczuwając w niem żadnej walki, lecz samo tylko rozszerzenie pragnień i swobodę używania...

Mógł marzyć, bawić się, słuchać lutnistów, uczyć się pieśni, wpatrywać we wdzięczne twarzyczki, które mu się wyprzedzając uśmiechały... dobierać przyjaciół, jeżeli oni Bonie nie zdawali się niebezpiecznymi, fantazyom chwilowym dogadzać... królowa pierwsza zawsze o nich wiedziała, aby z jej pomocą mogło się spełnić czego pożądał. Życie upływało jakby w jakimś półśnie rozkosznym. Trosk dotąd tak jak nie znał. O przyszłej swej żonie słyszał oddawna, pisywali do siebie, miała być piękną, lecz małżeństwo w początku zdawało się tak dalekiem, a do miłostek sposobność tak blizką.

Bona przez szpary patrzyła na zawiązywane i rozwiązujące się stosunki z pannami swojego dworu. Zawsze w porę znajdował się ktoś, co pomógł do uniknienia skandalu, do zapewnienia milczenia. Z kolei piękna Dżemma była kochanką młodego króla, najpiękniejsza z dziewcząt, to mało, najwykształceńsza z nich: umysłem, dowcipem, talentami przechodząca o wiele swe współtowarzyszki.

Królowa od dziecka widząc w niej nadzwyczajne zdolności, zajmowała się nią szczególnie. Miała mistrzów,

nauczycielki, wychowywała się tak starannie, może świetniej niż królewne. Z tamtemi obchodzono się dosyć surowo, ta była pieszczona.

Królowa, która umiała zużytkować wszystko, rachowała na nią jako na potężne narzędzie, które zawsze użytecznem być mogło... Nie miała może na myśli syna w początku, potem miłostki z piękną Dżemmą przyszły jej w porę i na rękę.

Despotycznej zdawać się mogło, że potrafi gdy zechce pokierować niemi, zawiązać gdy będzie potrzeba, rozwiązać łatwo, gdy się staną zawadą. Myliła się w tem jednakże, nie dosyć znając charakter dziewczęcia, którego podstawę stanowiła duma i rozkołysana wyobraźnia. Była to Włoszka w całem znaczeniu tego wyrazu, z namiętnościami gwałtownemi i niepohamowanemi, z pojęciem o miłości idealnem. I piękność i umysł i talenta, w jej przekonaniu, powołać ją mogły choćby do tronu a przynajmniej na jego stopnie.

Płochych miłostek nie rozumiała Dżemma; miłość ze sztyletem w dłoni, z trucizną w czarze, walczącą i gotową na śmierć.

Wykarmiona poezyą włoską, pieśniami włoskiemi, które o miłości mówiły jako o najważniejszej sprężynie żywota, Dżemma wierzyła w nią i czekała na nią. Przyszła do niej w postaci ładnego, młodego, rozmarzonego królewicza.

August powoli skradał się do niej, jakby przeczuwał, że raz zawiązany stosunek nie da się łatwo rozwiązać... ale zbliżywszy, poznawszy ją lepiej, znalazł w niej kobietę swoich marzeń. Pierwsze jego miłostki były płoche i dziecinne, ta odrazu przedstawiała się tragicznie i nęciła tem właśnie.

Bonie się zdawało, że gdy raz nie będzie potrzebną Dżemma, łatwo się jej pozbędzie jak innych, wydając za mąż; trzymała na to gotowego, rozmiłowanego, majętnego

Dudycza, który był i dostatecznie ślepy i jak należy zakochany.

Dżemma patrzyła teraz na niego z pogardą, ale wszystko to zmienić się musiało, gdy stara królowa rozkazała.

Dosyć zawsze pieszczona Dżemma, teraz gdy miała serce syna odciągnąć od młodziuchnej królowej przyszłej, i została na to przeznaczoną, z nadzwyczajną troskliwością pielęgnowaną była przez królowę.

Wbijało ją to w pychę i utwierdzało w tem przekonaniu, że wielkie i świetne losy czekały na nią w przyszłości.

Nic nie uchodziło oka Bony, która szpiegów swych miała wszędzie, wiedziała więc o każdym kroku syna, o każdem słowie Dżemmy. Dudycz miał być ze dworu starego króla przesadzony do młodego pana, aby i on donosił o nim. To rozporządzenie nim, było dosyć niezręczne, lecz Bona nie rozumiała, aby się jej kto mógł sprzeciwić... zresztą Dżemma po królewiczu była dla Dudycza jeszcze aż nadto wielkim skarbem.

Mieszkanie młodego króla łączyło się zblizka korytarzami z izbami królowej i jej fraucymeru. Przejście do Dżemmy było łatwe i nie narażało na spotkanie z nikim obcym.

Zygmunt August żył tu, zawsze w oczekiwaniu jakiejś zmiany, bo mu wysłanie na Litwę obiecywano, jakby na obozowisku; ale do czasu musiał około siebie zgromadzić, co życie znośnem czyniło.

Lubił wszystko piękne, pokoje więc pełne były darów królowej i nabytków różnego rodzaju ciekawych i odznaczających się artystycznem wykończeniem. Zbroje, których nigdy prawie nie wdziewał, zachowane tu starannie, były arcydziełami kunsztu płatnerskiego połączonego ze złotniczym. Szyszaki, napierśniki złotem nasadzane tysiącami dukatów opłacano dla niego.

Oprócz tego zbiory pierścieni, gemm, medalów,

rzeźb małych, stanowiły już mały skarbiec, który młody król namiętnie coraz nowemi nabytkami powiększać się starał. Cokolwiek się tu znajdowało, musiało się czemś niepospolitem odznaczać. Od szyszaków rytych i złoconych, do mieczów, których rękojeści rzeźbione podziwiać trzeba było jako cacka, do kobierców i pokryć na konie, wszystko prawdziwie królewskim jaśniało przepychem.

Szkatuły pozamykane, szafki zamczyste, skrzynie rzeźbione z drzewa, na stołach zamykały te zbiory, któremi król bawić się lubił i chwalić niemi przed poufałemi. W sypialni i komnatce przy niej, stoły oprócz tego zarzucone były księgami, tak zachowanemi, aby nie każdy mógł je przepatrywać i dowiedzieć się co królewicz czytywał. Tu nie każdy miał przystęp. Księgi sprowadzane z zagranicy, we wspaniałych acz prostych oprawach ze skóry dziczej, gromadziły się przy sypialni. Treść ich byłaby zdziwiła ciekawego badacza, tak nadzwyczaj urozmaiconą była.

Począwszy od poezyi do rozpraw teologicznych, do historycznych badań, było tam wszystko, co w obecnej chwili świat zajmowało. Pisma surowo zakazane niemieckich reformatorów, rozprawy Melanchtonów, Rotterdamusa, Lutra obok namiętnych traktatów politycznych obrońców katolicyzmu. Z zakładek i znaków widać nawet było, że pierwsze z nich pilniej czytywane były.

Obok tego poeci włoscy, łacińcy, księgi o sztuce, opisy krajów, historyę państw, nawet rozprawy o czarnoksięztwie znaleźć było można.

Zygmunt czytał wszystko lub przynajmniej przerzucał tak, aby mu nic obcem nie było.

Na dworze mało czuć się dawał ten prąd idei polemicznych, które wiodły z sobą walkę o swobodę sumienia.

Właśnie w tych latach panowała jakaś cisza pozorna. Gamrat ustanowił inkwizycyę. Spalono staruszkę Malcherowę, wielu duchownym zagrożono... trwoga wy-

wołała milczenie. Lecz pod tą ciszą łatwo się było domyśleć nurtujących potajemnie prądów, które tem były niebezpieczniejsze, im mniej się na oko pochwycić dawały.

Zygmunt Stary pobożnym był, nie będąc zbyt gorliwym; Bona modliła się i obchodziła z duchowieństwem na sposób włoski, posługując się niem i płacąc mu za to, ale wymagając posłuszeństwa. Z Rzymem wolała być dobrze, lecz nie żałowała go zbytecznie; a gdy tam nie mogła przeprowadzić co chciała, łajała i zżymała się namiętnie...

Pod takiemi wpływami Zygmunt August się wychował, w rzeczach religijnych raczej obojętny i zimny, niż gorliwy.

Dopiero ruch reformatorski w Niemczech, który jak fala tłukł o granice Polski i wdzierał się tu pod najrozmaitszemi postaciami, obudził w młodym królu zajęcie tą polemiką, która go zabawiała.

Lismanin, któregośmy widzieli u królowej, przebiegły Włoch, siedzący na dwu stołkach a skrycie sprzyjający reformatorom, przychodził, ostrożnie badając stan umysłu króla, oswajać go powoli z gotującym się wielkim przewrotem w kościele.

Lecz jakkolwiek młody i żywy, król tak był w sobie zamknięty i ostrożny, iż słuchając go, nigdy poznać nie dał po sobie, gdzie się jego sympatye skłaniały.

Tak samo jak tą teologią namiętną, zajmował się chętnie muzyką August, słuchając jej z przyjemnością. Naostatek miał jeszcze upodobanie w pięknych koniach, których nie często dosiadał, ale lubił mieć osobliwe i już naówczas myślał o ich hodowli i stadach.

Takim jakim był naówczas młody pan, można go było sądzić wielce obiecującym na przyszłość. Nad wiek poważny, dbały o każdy krok, nie rażący żadnym wybrykiem, umysłowo wykształcony, mógł monarchę znakomitego zapowiadać.

Szlachta i panowie polscy możeby go innym mieć byli woleli, otwartszym, więcej rycerskiego ducha, mniej ostrożnym Włochem, lecz odmówić mu nie mogli nad wiek dojrzałości i taktu.

Mało się czem zajmował, ale to nie było jego winą— nie pociągano go do pracy. Królowa starała się go od niej odsuwać, stary Zygmunt też nie powoływał.

Były to, bądź co bądź, lata szczęśliwej młodości dla młodego króla... mógł marzyć, zabawiać się jak chciał, iść za swemi skłonnościami i upodobaniami, a jeśli ojciec mu skąpił i był dlań surowym, matka za to płaciła, starając się serce i zaufanie pozyskać.

Dnie upływały swobodnie. Często kilka ich uchodziło, a August nie widział ojca, przychodził do niego na chwilę, niewiele słów zamieniał, i powracał do swoich lub królowej apartamentów.

Bona za to widywała syna nie raz ale po kilka na dzień razy, zapraszała go do siebie, starała się zabawiać... Zrana przejeżdżał się konno, polował rzadko, jadł z rodzicami lub matką, przeglądał swe kamienie i medale, przyjmował tych, których królowa dla towarzystwa jego dobierała. Wszyscy oni tem się odznaczali, że nigdy o państwowych sprawach, o polityce nie mówili z Augustem. Mało się też nią zajmował, lub przynajmniej nie dawał znać po sobie, że go to pociągało. Ale wzrok miał bystry, a szkołę milczenia przeszedł w dzieciństwie i umiał nosić w sobie największe brzemiona, nie zdradzając ich ciężaru.

Tego dnia królowa zastała go nad księgą, którą szybko złożywszy i zasunąwszy między inne, na stole nagromadzone, wyszedł na jej spotkanie.

Bony czułość dla niego zawsze się namiętnie objawiała, jakby jego miała jednego. Dla córek, oprócz Izabelli, była surową i nieprzystępną, dla Augusta wylaną.

Oczyma, wszedłszy, przebiegła pokój, aby z najmniejszej jakiejś oznaki poznać usposobienie syna...

Znalazła go smutnym, więc zapragnęła być wesołą... usiłowała wyciągnąć na słowo jakieś, lecz nic się dowiedzieć nie mogła. Poleciła mu na dworzanina Dudycza, chwaląc go jako posłusznego sługę — August przyjął to obojętnie. W chwilę potem, poszeptawszy jeszcze, biegła napowrót do swoich pokojów.

Zaledwie wyszła, czując się już swobodnym. August poprawił na sobie włoski strój czarny, i cichemi kroki przemknął się korytarzem do Dżemmy.

Siedziała znowu, tak jakeśmy ją widzieli, w oknie małej komnatki swej, i lutnia leżała przy niej i szycie miała w ręku, choć nie zdawała się niem zajmować. Zwróciła głowę gdy drzwi się uchyliły, rumieńcem oblała się twarz, wstała śpiesząc na spotkanie króla, który rzucił się obejmując ją i przyciskając do piersi.

W tym niemym uścisku upłynęła chwila... Patrzyli sobie w oczy... Dżemma i on, oboje byli smutni, ale wielkie szczęście czasem się tak czarno ubiera umyślnie... Szeptali z początku tak, że ledwie sami się słyszeć mogli.

Dżemma poszła zwolna, wiodąc go za sobą ku krzesłu, a August obyczajem dawnym na podnóżku u kolan jej usiadł, patrząc w piękne oczy.

— Nieprawdaż? zdrowszą dziś jesteś? — szeptał król. — Uwierzyłaś, że niemasz trwożyć się czego?

— A! — przerwało dziewczę, machinalnie ręką białą sięgając ku leżącej blizko lutni, a drugą poprawiając pukle ciemnych włosów króla — a! nie ma miłości bez trwogi! Każdy skąpiec drży o skarby swoje.

— Bojaźńby szczęście zatruła, gdyby tak zawsze dręczyć nas miała — odparł August. — Drogich chwil szkoda jej dawać na pastwę.

— A chwile te tak krótkie! — westchnęła Dżemma — obliczone! niestety!

Zmarszczył się król i ujął rękę jej w dłonic.

— Nie przewiduj gorszej przyszłości niż się ona obiecuje — począł mówić. — Niestety, królowie żenić się

nawet, tak jak żyć muszą nie dla siebie, ale dla poddanych, za to małżeństwa ich serca nie wiążą. Zmusić mnie mogą do podania ręki przed ołtarzem, ale serca mojego nikt nie weźmie gwałtem... to do ciebie należy.

— Na długo?

— Na zawsze! — zawołał August — dopóki twoje dla mnie bić będzie, piękna Dżemmo!

— Zwolna kołysać się zaczęła piękna jej główka, a uśmiech smutny błąkał się po wargach.

— Dzielić się będę musiała z nią — mówiła — a nienawidzę tę kobietę!

— To dziecko — rzekł August — zabawiać ją będzie stary król, który podobno kocha bardzo synowę... a mnie zasłoni matka, która wie, co mnie szczęśliwym uczynić może i żyje tylko dla mnie.

Gdy to mówił, wejrzenia ich się spotkały, Dżemma zacisnęła usta, Augustowi zdawało się, że w oczach jej znalazł wyraz wątpliwości i niedowierzania.

— Dżemmo! — zawołał — ty jej nie znasz, ty ją sądzisz jak drudzy. Ona co czyni wszystko dla mnie, i jeśli się naraża ludziom, ja tego jestem przyczyną. Od kolebki pamiętam ją zawsze tak czułą, tak dla mnie wylaną. Siostry nawet zaniedbuje.

Włoszka nic nie odpowiadała, lecz wejrzenia jej nie okazywały aby przekonaną była.

— I ciebie — dodał król — winienem jej! Ona tak surowa dla drugich, nam zostawuje swobodę, nami się opiekuje... ciebie kocha jak dziecię własne.

Podniósł głowę ku niej, jakby się domagał odpowiedzi. Dżemma jeszcze milczała, westchnęła tylko.

— Daj Boże — odezwała się po przestanku — aby się to nie zmieniło... Widziałam nieraz królowę przechodzącą z miłości do nienawiści tak skoro, tak gwałtownie.

— Nigdy bez przyczyny — począł król — oburza ją niewdzięczność, nie umie przebaczyć zdrady... a my na dworze, wśród ludzi, których łaskami obsypujemy,

wystawieni jesteśmy ciągle na niespodziewane ciosy... Bona po królewsku wdzięczną być umie, lecz też i po królewsku karze.

Wzdrygnęła się ze strachu jakiegoś Dżemma.

— My we dwoje — ciągnął król dalej — my się przynajmniej nie mamy czego obawiać, a wszystkośmy jej winni. Przyrzekła mnie bronić od przyszłej małżonki, z którą żyć nie będę zmuszony.

— A stary król? — spytała Dżemma.

— Ojciec nie zdoła nic, gdy królowa się oprze — mówił August.—Zmusi go ustąpić i pozostać obojętnym.

Myślała długo Włoszka, której lice się rozjaśniło nieco.

— Mówią, że was z nią, z nią — poczęła z przyciskiem wymawiając wyraz ostatni — chcą wyprawić na Litwę... a ja! a mnie!

August głową potrząsnął.

— Ach nie — odparł — król jest temu przeciwny, matka mnie obronić potrafi. Litwa się oddawna domaga w. księcia, ale polscy senatorowie obawiają się rządów osobnych. Kraje połączone na pozór, ciągle się rozdwajają... trzeba unikać wszystkiego co je rozdziela.

— Co za życie! — ręce podnosząc i zakrywając twarz niemi, przerwała Włoszka. — Drżę na myśl jej przybycia, tego wesela, tej niewoli. Widziałam jej portret u królowej, piękna jest i młodsza odemnie!

— Nie!—gwałtownie zawołał August—ani krasy twojej, ani duszy twojej nie ma, dziecko trwożliwe... Matka powiada że chora i że słabość jej wstręt obudzić musi.

Ale dlaczego ty mnie zmuszasz — dodał — karmić się tą rozmową okrutną? po co przewidywać? na co zawczasu goryczą się poić... Zaśpiewaj, marzmy!

I głowę złożył na jej kolanach.

— A, nie! to nie jest śpiewu godzina — odezwała się rzucając lutnię Włoszka — ja nie mogę śpiewać, gdy

w duszy mam łzy... ani nakazać sobie pieśni, gdy mi się serce ściska... nie, nie...

Król nie nalegał.

W milczeniu ujął jej rękę białą i całując palce po jednemu lubował się tak, marzył, uśmiechał. Dżemma schyliła się nad skroń jego i położyła pocałunek na niej.

Tak byli zatopieni w sobie, że żadne z nich ani dosłyszało, ani postrzegło, jak cichutko podniosła się w drzwiach sypialni zasłona i twarz Bony z oczyma iskrzącemi ukazała.

Królowa patrzyła na nich długo z radością jakąś, ostrożnie opuściła kurtynę i znikła.

Dżemma podniosła się, August wstał, objął ją wpół i poszli razem stanąć w oknie, szepcząc niepochwyconemi wyrazy. Były to przysięgi miłosne.

Coś się zdawało czuwać nad niemi, w kurytarzach nie było najmniejszego ruchu, od komnat dalszych nie dochodził szelest żaden. Zapomnieli się tak długo, długo, i wchodząca dopiero karlica rozbudziła ich do życia.

Król natychmiast opuścił komnatę.

W nieszczęśliwą godzinę biedny Petrek Dudycz podniósł oczy i serce swe skłonił ku Włoszce. Zdawało mu się, że dla ubogiej sieroty, która nic oprócz łaski królowej nie miała, jego osoba i majętność były czemś bardzo ponętnem.

Karykaturalnej postaci Dudycz, którego wyszukane stroje czyniły brzydszym i śmieszniejszym jeszcze, na wiele rzeczy był ślepym... a im dłużej się tak spóźnioną miłością rozgrzewał, tem mocniejszego nabierał przekonania, że ona mu piękną Dżemmę, zjednać musi.

Przystęp do niej, jak do innych panien fraucymeru wprawdzie napotykał trudności i przeszkody, lecz Petrek wiele ich podarkami i groszem umiał zwyciężać.

Skąpy dopóki z soli fortunę budował, teraz rozkochany, gotów był na największe ofiary.

Nad polskim fraucymerem królowej naówczas zwierzchni miała dozór ochmistrzyni wdowa, nie młoda już jejmość Klara Zamechska. Winna ona była to miejsce jedynie temu, że za młodu obracając się w kołach mieszczan i kupców włoskich w Krakowie, których za Kaźmierza dosyć tu nadpłynęło, nauczyła się nieźle po włosku.

Otyła, ociężała, ale zdrowa i silna Zamechska, chodziła namarszczona, udając surową, starała się królowej przypodobać, ale ani Bona jej polubić, ani ona królowej pokochać się nie nauczyła.

Obawiała się i nienawidziła.

Lecz, że obyczaj wymagał ciągłych zapewnień miłości, wierności, poświęcenia, ochmistrzyni miała je ciągle na ustach.

Dudycz, który znał dobrze dwór, nie znalazł sobie lepszego nad nią sprzymierzeńca. Wiedział, że Zamechska chciwą była, począł od obsypywania ją podarkami.

Baba kuta doskonale wiedziała o co chodziło, śmiała się w duszy z poczwarnego eleganta... ale go nie odtrąciła. W zbliżeniu się do niego nie było niebezpieczeństwa, bo Dudycz miał pewne zachowanie u królowej.

Petrek znalazł wreszcie raz wieczorem zręczność rozmówienia się sam na sam ze starą ochmistrzynią.

— Jejmościuniu — rzekł — śmiej się ze mnie jeśli chcesz; powiesz może, że w starym piecu djabeł pali, ale com ja temu winien, że oczy mam i serce w piersi. Zakochałem się...

— We mnie? — odparła biorąc się w boki Zamechska.

Dudycz począł się śmiać i w rękę ją pocałował.

— W Dżemmie — szepnął.

Zamechska ręce załamała.

— A toś się wybrał! — rzekła — prawda że późno,

ale to smacznego ci się kąska zachciało. Na całym dworze piękniejszej nie masz.

— Pewnie — odparł z dumą Petrek — bo ja smak mam; ale ta piękność uboga jest, a ja, dzięki Bogu węzełek sobie przysposobiłem.

— Sól zdrowa — rzekł Dudycz. — Sądzę, że królowa pani moja najłaskawsza, nie będzie przeciwną.

— A dziewczyna? — spytała ochmistrzyni.

— Kto ją zgadnie? — począł Dudycz — raz patrzy jakby się gniewała, czasem jakby się litowała.

— No... a jakby się kochała — przerwała Zamechska — hę?

Dudycz głową potrząsnął.

— Nie—rzekł—ale toby może z czasem przyszło. Jabym ją złotem obsypał, jabym...—nie mógł dokończyć, ręce jego wyrażały tylko, że gotów był dla niej poświęcić wszystko.

Stara Zamechska miała czasem poruszenia dobrego serca. Żal się jej zrobiło tego człowieka śmiesznego, brzydkiego, który całe życie pracował na to, aby dla jednej dziewczyny, wyśmiewającej się z niego, patrzącej wysoko, wszystko, a może nawet i życie w końcu stracił. Zbliżyła się do siedzącego i położyła mu rękę na ramieniu, litościwie spoglądając na niego.

— Słuchaj Dudycz — rzekła — chyba oczów nie masz. Żyjesz na dworze, a nie widzisz tego, co wszystkim wiadomo... Dżemmę kocha młody król, ona szaleje za nim... nasza pani na to przez szpary patrzy. Gdzież tobie się z nim mierzyć!

Petrek słuchał na wpół osłupiały.

— Przecie się z nią nie ożeni! — dodał pomilczawszy.

Ochmistrzyni się rozśmiała.

Dudycz dodał spuszczając oczy.

— To co? albo się ludzie z wdowami nie żenią?

Upor był nie do przełamania, Petrek począł dalej ciągnąć rzecz swoją.

— No, tak, pracowałem życie całe, uciułałem grosza. Chodziłem w prostej opończy dziurawej długo, a teraz widzicie jak się stroję. Otóż na to pracowałem, żeby mieć wszystko jak drudzy. Bławaty, aksamity, łańcuchy, woźniki, kolebki i żonę taką, aby mi jej ludzie zazdrościli. Innej nie chcę jak ta, a tę muszę mieć, niechaj będzie co chce...

I pięścią uderzył się w kolano.

— Cóż z tobą mówić — odparła ochmistrzyni. — Ja ci nic nie pomogę, ona teraz na ciebie patrzeć nie zechce.

— A potem? — zapytał Dudycz podnosząc oczy.

Śmiała się Zamechska; patrząc na śmiesznie wystrojonego, brzydkiego, niezgrabnego człowieka, razem litość i śmiech ją porywał.

— Mam ja ci to tłómaczyć — rzekła — czegoś się powinien sam był domyśleć? Królowej ona teraz potrzebna, aby młodego króla od tej żony, którą dla niego przywieźć mają, odciągała. Młody pan i stara pani nasza obsypują Włoszkę podarkami, ona teraz pierwsze oko w głowie... cóż ty możesz przeciwko nim?

Dudycz wstał z krzesła i zbliżył się do ucha prawie Zamechskiej.

— Nie takim ja głupi—odparł zniżając głos i ręką osłaniając usta. — Królowa i młody pan będą ją pieścili, bo im potrzebna, ale stary król także też coś znaczy: ks. Samuel, hetman, podskarbi, także ręce mają... Oni pewnie się zechcą pozbyć Włoszki... hę?

— A ty myślisz, że oni wszyscy, ile ich jest, naszej starej Włoszce i młodej podołają? — odparła ochmistrzyni.

— Młoda królowa także też coś będzie znaczyła— rzekł Dudycz.

— Więc żonę chcesz wziąć na upartego? gwałtem?

a co ci potem będzie z niej?—spytała Zamechska.—Dasz jej radę?

Gburowata, głupowata twarz Dudycza przybrała na chwilę jakiś wyraz dziki i dziwny, błysnęły oczy, i Zamechska zrozumiała, że w tym człowieku, który się układał na dworaka, był drugi ukryty... z wolą żelazną i nielitościwym uporem.

Petrek milcząco spuścił oczy.

— To moja sprawa — rzekł. — Mówiłem jejmości: chcę mieć piękną i pokaźną żonę... jak ją dostanę, to ją sobie ułożę.

— Znalazłbyś przecie łatwiej drugą—przemówiła Zamechska.

— Kiedy mi ta w oko wpadła — rzekł Dudycz. — Ja wiem, że niełatwo ją przyjdzie uchodzić, alem na wszystko gotów... na wszystko.

To mówiąc, z kieszeni płaszczyka Petrek zaczął coś dobywać starannie obwiniętego w jedwabną chusteczkę. Ochmistrzyni przypatrywała się tym przygotowaniom z ciekawością.

Powolnie, systematycznie Dudycz rozwinął węzełek i dobył naprzód piękny pierścień z okiem, który, milcząc, sam włożył na palec ochmistrzyni. Nie opierała się temu i podziękowała mu skinieniem głowy i uśmiechem. Stara lubiła klejnoty, które wówczas zresztą wszyscy, mężczyźni i kobiety, nosili i cenili daleko więcej niż dzisiaj.

W chustce było jeszcze jedno pudełko, które Dudycz otworzył niemal z poszanowaniem. W niem, na dnie atłasowem, leżała spinka, w złoto oprawny rubin duży, który sam przez się był cenny, ale wartość kamienia nikła przy cudnej oprawie. Poznać było łatwo w robocie tej rękę włoskiego mistrza, który z miłością i zapałem rzeźbił to dzieło. Kamień obejmowały dwie figury kobiet, które się go dźwigać zdawały. Ciała ich, lekkie dra-

perye, wieńce kwiatów oblatujące dokoła ramię, były z różnobarwnego złota, srebra i emalij.

Zamechska patrzała zdumiona, a Dudycza twarz uśmiechała się tryumfem.

— Myślicie— rzekł — że tę fraszkę łatwo za psie pieniądze kupić było? Ho! ho! wioseczkęby może dostał za to, co mnie ona kosztowała. Królowaby się nie powstydziła jej nosić.

To mówiąc, zwolna zamknął pudełko i wręczył je ochmistrzyni.

— Znajdźcie sposób oddać to odemnie pięknej Dżemmie — rzekł. — Ja o nic w zamian nie proszę, nic a nic, nawet o spojrzenie. Chcę, żeby przyjęła i nosiła...

— A jak nie przyjmie? — spytała Zamechska.

Rozśmiał się Dudycz.

— Nie byłaby Włoszką,—rzekł.— Naprzód jej pokażecie, niech się przypatrzy, potem...

Dudycz wydał się ochmistrzyni nie tak głupim jak wprzódy.

— Nawet Bóg zapłać nie żądam — dodał. — Nic, tylko żeby czasem to cacko włożyła. Są klejnoty, które mają czarodziejską siłę...

Stara, która święcie wierzyła w czary, pudełeczko bojaźliwie postawiła na stole.

Petrek się uśmiechnął.

— Będę wam bardzo wdzięczen, gdy jej to oddacie i powiecie tylko, że odemnie, który jestem i będę jej sługą i niewolnikiem.

Ochmistrzyni milczała, nie miała już co mówić z upartym, który wszystko przewidywał, a niczem zrażać się nie dawał.

Dudycz też, jakby spełnił to po co się tu wcisnął, pożegnał zaraz Zamechską. Miał już na myśli co innego. Otworzyły mu się oczy. Zamiast protekcyi starej królowej, potrzebniejszą mu była daleko pomoc tych ludzi,

którzy przy starym królu stali, bo tym Włoszka miała się stać zawadą.

Dudycz miał z niektórymi stosunki, a szczególniej z Bonerem, który w sprawach żup solnych jako doświadczonego radził się nieraz. Oprócz tego łączył ich z sobą stosunek inny, wątły wprzódy, lecz teraz dla Petrka nabierający wagi.

W milczeniu, niepostrzeżenie prawie reforma Lutra szerzyła się w Polsce. W tej dobie, zwłaszcza na oddalonych krańcach, miała ona charakter wcale różny od tego, jaki przybrała później, gdy jawnie wybuchnęła.

W historyi nowych religijnych idei za mało zwracają uwagę na ten peryod, który pierwsze symptomata prądu reformatorskiego dzieli od stanowczego zerwania z Rzymem.

Można śmiało powiedzieć, że w początkach trzy czwarte tych, którzy chwytali chciwie idee nowe, jak je u nas zwano, nowinki, nie przypuszczało nigdy, ażeby one do zupełnego rozbratu z papiestwem i katolicyzmem doprowadzić mogły.

Bardzo wielu duchownych, którym ciężyło narzucanie corteggianów z Rzymu do beneficiów, rząd po za granicami, nadużycia różne, bardzo wielu marzycieli, którym religia zdawała się wymagającą oczyszczenia, uproszczenia, uczynienia popularną językiem i t. p., bardzo wielu humanizmem doprowadzonych do niewiary i theizmu; nakoniec ogromny lik ludzi, co nie rozbierając nowości, na wędkę pochwycić się ich dają, cisnęło się do nowatorów. Nikt jednakże, rozprawiając o tem, dając schronienie apostołom reformy, z kościołem nie zrywał. Wielu ograniczyć się chciało tem, co nazywano puryfikacyą. Żądano wiele, lecz ograniczyliby się gardłujący i mniejszemi ustępstwami.

Gamrat, który spaleniem Malcherowej i ustanowieniem inkwizycyi zatrwożył nowatorów, na kilka lat wstrzymał jawne ukazanie się protestantyzmu... Spisko-

wano pocichu, wielu na dwu stołkach siedziało-- Boner, Decyusz sprawiali urzęda syndyków przy kościołach katolickich, a w domach swych gospodę dawali przybywającym z Niemiec apostołom.

Znaczna część duchowieństwa młodszego, żwawszego umysłem, a nie mającego nic lub niewiele do stracenia, biegła słuchać predykantów i żwawo roztrząsała zasady przez nich głoszone.

W poufałych kółkach, szczególniej niemieckiego pochodzenia mieszczan krakowskich, było modą rozprawiać o bałwochwalczej czci obrazów, o spowiedzi, o obrzędach, o bezżeństwie księży i t. p.

Prąd ducha czasu jest jak owe burze wielkie, które obalają gmachy, ale też kurzu tumany podnoszą. Tak samo i wielkie umysły porywają idee i najpłytsze zawracają. Niejeden idzie wprost za drugiemi przez naśladownictwo, tak samo jak sprawia czapkę i pas nowym krojem.

Otóż Dudycz, który nagle został elegantem i nosił włoskie suknie, chcąc się do przyzwoitych ludzi zbliżyć, począł szukać nowatorów i z niemi zawiązywać stosunki.

Ich propaganda czyniła przystępnemi.

Człowiek majętny, który w swoich dobrach na wsi mógł dać schronienie jakiemu zbiegowi, pobudować zbór, postarać się o druk księgi—był pożądaną zdobyczą. Dudycz miał wszystkie te warunki, a w dodatku zdawał się dosyć ograniczonym, tak że nim zawładnąć było można.

Przez któregoś z dworaków, bo tych wielu chadzało na reformatorskie koncyliabuła, Dudycz się wcisnął pomiędzy spiskujących. W istocie nie można ich było naówczas nazwać inaczej. Kryli się jeszcze przysposabiając umysły starego króla, ale nadewszystko Zygmunta Augusta.

Lismanin, którego suknia mnisza długo od podejrzeń broniła, mający wstęp do starej królowej, przez nią

się wwiódł do młodego pana, umiał mu podobać, stał się potrzebnym, i przygotowywał go do uznania wolności sumienia, jako dopełniającej swobody prawami poręczone narodowi.

Dudyczowi wiadomem było, że w domu Bonera, przy Floryańskiej ulicy, za wielkiem pierwszem podwórcem, na tyłach w miejscu mniej dostępnem i widocznem, w izbie bardzo przestronnej, zbierali się w nowej wierze pozyskani uczniowie. Odbywały się tu ciche modlitwy, narady i rozprawy, tu zwykle przybywający z Niemiec stawali gospodą, albo się o nią dowiadywali.

U Bonera, który na pozór katolikiem był i miał nawet wziętość u ks. Samuela, a unikał rozmów drażliwych — ogniskowały się wszystkie zabiegi protestantów, przygotowujących do lepszej, jak sobie obiecywali, przyszłości.

Kamienicę tę znał Dudycz, ale pewna obawa wstrzymywała go dotąd od uczęszczania na nowe nabożeństwa, a w rozprawach chyba jako słuchacz mógł uczestniczyć — i na prawdę niewiele go one obchodziły. Człek praktyczny myślał tylko o tem, jak z każdej sposobności dla siebie skorzystać.

Tym razem nie do zboru, ale do pana Seweryna Bonera zbliżyć się mu było potrzeba. Obrachował, że jako sprzymierzeniec mógł służyć tym, co popierali sprawę młodej królowej. Rozumował po gburowsku, z prosta, i szedł prosto też do celu.

Zmierzchało już, gdy znalazł się przy ogromnych wrotach kamienicy, w której kancelarye czynnego Bonera, jego dwór, rodzina, domownicy i skarbiec się mieściły. Ruch tu zawsze był wielki, bo Boner miał niezmiernie rozgałęzione stosunki, interesa ogromne i rozliczne, a zajmował stanowisko wyjątkowe. Szlachta go miała za swego, mieszczanie widzieli w nim brata i wodza bo z ich stanu wyrosnął. Był to zarazem pan, majątkiem magna-

tom równy, urzędnik skarbowy mający króla zaufanie, kupiec i handlarz, a jak na owe czasy i bankier, bo przez niego najpewniej przesyłały się pieniądze w najdalsze kraje.

Mało który cudzoziemiec zawitał do Krakowa, nie mając do niego listu polecającego, karty na odebranie pieniędzy.

Wszystkim wiadomem było, że ta potęga stała po stronie króla Zygmunta Starego, ks. Samuela i hetmana.

Boner nie wojował jawnie z Boną, czynił jej nawet małe przysługi, lecz tak się ująć, jak ona chciała nie dawał.

Dudycz potrzebował się z nim rozmówić. Wchodził właśnie we wrota, gdy młodego znajomego sobie mieszczanina Krieglera spotkał, który spojrzawszy nań tylko, ujął pod rękę i z sobą poprowadził, nie pytając nawet po co i do kogo idzie.

Dudyczowi zdawało się, że i on pewnie Bonera szuka. Dopiero w połowie podwórza, gdy ciągle jeszcze szli dalej, dowiedział się od Krieglera, który mu to szepnął na ucho, iż właśnie wieczorne miało się odbywać nabożeństwo. Ponieważ na niem spodziewał się zobaczyć Bonera, a przytomnością swą polecić mu i zyskać ufność jego, Dudycz się dał poprowadzić.

Izba przeznaczona na ten zbór tymczasowy, znajdowała się w samej głębi drugiego podwórza na pierwszem piętrze, na które po ciemnych wschodach drapać się było potrzeba. Szło z niemi razem osób kilka. Nie sprawdzał nikt kto wchodził i czy miał tu znajdować się prawo, bo się zdrady nie obawiano. Czujność wielka, uśpiona kilkoletnim pozornym spokojem, ustała.

Weszli do przyciemnionej sali, którą teraz dopiero kilku świecami zaczęto oświecać. W głębi stał okryty kobiercem i białym obrusem stół, a na nim krucyfiks srebrny. Żadnego zresztą obrazu, godła, sprzętu zwykłego miejscom modlitwy, widać nie było. Oprawna w skó-

rę biblia leżała pod krzyżem. W sali było już osób kilkanaście, które oczekiwać się zdawały — jedne siedząc na ustawionych we dwa rzędy ławach bez poręczy, drugie pocichu rozmawiając gromadkami. Twarzy przytomnych trudno było z początku rozpoznać w mroku, ale więcej niż połowa przytomnych tu miała na sobie odróżniające ich od świeckich suknie duchownego kroju. Barwa czarna dla mężczyzn i kobiet była w tej epoce wielce używaną i modną, ona więc sama nie stanowiła różnicy... ale płaszcze, birety, pasy, sutanny a nawet tonsury wskazywały duchowieństwo. W znaczniejszej części byli to ludzie młodzi, a buta i gorączka patrzyła im z twarzy. Oglądali się niespokojnie zdradzając trochę obawy, nadrabiając zuchwałą miną.

Dudycz, którego Kriegler u drzwi opuścił, został sam, a wszedłszy niemal mimowoli i zbytniej nie mając ciekawości, usiadł sobie na ławie.

Zwolna pusta izba napełniać się zaczęła, a rozproszeni goście zajmować miejsca na ławach. Petrek postrzegł zdala i Seweryna Bonera i znanego wszystkim Justa Decyusza, i kilku innych przewódzców.

Po upływie ćwierć godziny, w sposób bardzo prosty, rozpoczęło się owo zapowiedziane nabożeństwo. Zanucono psalmy po niemiecku, niebardzo głos podnosząc. Czuć było, że się nie chciano zdradzić. Śpiewy szły nie dosyć sworno i niepotrwawszy ustały. Naówczas mężczyzna czarno ubrany, w sukni długiej kroju duchownych przypominającego, wystąpił za stół przed krucyfiks i mówić rozpoczął. Głos jego w początku był cichy, twarz blada, oczy nieśmiało biegały po słuchaczach, ale wnet rozgrzał się i własnemi słowy i okazywanem mu jawnie współczuciem. Oczy wszystkich chciwie były zwrócone ku niemu, niektórzy na palcach z dalszych ław do bliższych się przesuwali, aby lepiej słyszeć mogli. Kaznodzieja mówił po niemiecku. Dudyczowi język ten nie był całkiem obcym, lecz rzecz cała dla niego zbyt po-

nętną nie wydawała się — pozostał więc na swej ławie zdala, i z mowy ledwie kilka frazesów mógł pochwycić.

Predykant przybyły z Witenbergi, gwałtownie występował przeciwko despotyzmowi Rzymu, powtarzał wszystko, co przeciw papiestwu naówczas głoszono, starając się je oczernić i wstrętnem uczynić. Mówił o kościele Chrystusowym, o idealnym grodzie Bożym, o przyszłej szczęśliwości świata odrodzonego i oczyszczonego z bałwochwalstwa. W końcu jakiś szał proroczy nim owładnął, i to co mówił stało się prawie niezrozumiałem. Apokalypsis, wyciągi z ksiąg proroczych, zastosowane do czasów nowych, fantastyczne obrazy, ognistemi rysy piętnowały się w umysłach słuchaczów.

Wrażenie było ogromne, a skończywszy uznojony apostoł zamilkł... cisza zapanowała grobowa i, choć inni mówcy zapowiedzeni byli, nikt się odezwać nie śmiał.

Po długich szeptach i naradach zanucono pieśń dziękczynną także po niemiecku i na tem skończył się ów obrzęd wieczorny.

Dudycz postrzegł jak potem kołem otoczono bladego predykanta, który jeszcze będąc pod wpływem natchnienia, jakie mu kazanie jego dyktowało, ocierał czoło i ust prawie otworzyć nie mógł.

Niektórzy z duchownych zbliżyli się ku niemu. W sali poskupiały się gromadki. Wszyscy byli pod naciskiem tych wyrazów natchnionych, widocznie napełniały ich one jak najlepszemi dla przyszłości tego kościoła nadziejami.

Petrek patrzał, słuchał, lecz naprawdę pragnął, aby się to wszystko jak najprędzej skończyło i żeby wychodzącego ztąd gospodarza przyłapał. Ale ten był tak oblężony, że Dudycz w końcu postanowił się wymknąć i czekać na niego w dziedzińcu.

Tu już ciemno się tak zrobiło, że po chwili przeniósł się do bramy, i długo czekać musiał, nim nareszcie spostrzegł idącego Bonera, którego pośpieszył pozdrowić.

Roztargniony podskarbi nie bardzo nań zważał i byłby pominął, gdyby Petrek nie szepnął mu, iż chce z nim mówić na osobności.

Boner, w sile wieku, pańskiego oblicza, postawy pięknej mąż, zmierzył go od stóp do głów oczyma, jakby pytał: co on, biedny człeczyna, z nim *privatim* mieć może do czynienia? Ale snadź przypomniał sobie, iż sam go kilkakroć używał do porady w sprawach żupy, i kazał mu iść za sobą do mieszkania.

Wewnątrz kamienica tego bogacza i możnego dygnitarza nie ustępowała najwspanialszym domom książęcym.

Zbogaceni mieszczanie lubili okazywać, że razem z fortuną nabyli upodobania pańskie, więc przepych był wszędzie. A że stosunki dozwalały im z zagranicy, z krajów przemysłu i sztuki z łatwością i szybko sprowadzać wszystko, nowości kosztowne zaledwie się gdzie zjawiły, wnet się tu znaleźć musiały.

Przeszedłszy szereg izb tak strojnych, że Dudyczowi jak obraz zaczarowanego jakiegoś pałacu mignęły przed oczyma, Boner wprowadził go do małej komnatki, która do poprzedzających ją izb wspaniałych wcale nie była podobną.

Tu oprócz stołu, kilku krzeseł i ław do koła, a rzeźbionej szafy, nie było nic. Włoska lampka olejna czekała na gospodarza stojąc na stoliku, zarzuconym kartami papierów, listów i księgami wązkiemi a długiemi, zawierającemi rachunki.

Panu Bonerowi jawnie było pilno, wskazał siedzenie Dudyczowi, i z obojętnością wielkiego pana, który rad zbyć się natrętnego klienta, rzekł do niego:

No, Dudycz, cóż ty mi przynosisz ze dworu? Masz co do mnie?

Petrkowi jakoś wytłómaczyć się na razie było ciężko; niewymówny, szukał po głowie od czegoby miał począć.

— Ja do W. Miłości w mojej własnej sprawie przychodzę — odezwał się nieśmiało.

— Mówże, proszę.

— Chciałbym — dodał Dudycz niezgrabnie — chciałbym się żenić...

— A któż ci broni? — śmiejąc się odparł Boner.— Jesteś pełnoletni oddawna.

Zaczerwienił się Dudycz.

— Ale bo — rzekł — idzie tu o pannę z fraucymeru królowej JMci.

— I chcesz, aby ci król JMć był swatem — począł Boner wesoło. — Ale, Dudyczu mój, to ci rychlej zaszkodzi niż pomoże. Stara pani nasza dąsa się na nas.

— Ja to wiem — począł Dudycz widocznie skłopotany tem, jak przystąpić do sprawy — ale właśnie się tak rzeczy składają, że moje ożenienie królowi staremu będzie bardzo na rękę, więc myślałem że mi do niego pomoże.

— Królowi? twoje ożenienie? — rozśmiał się Boner, z góry spoglądając na biednego zafrasowanego petenta — nie rozumiem, mów jasno.

Dudycz zniżył głos i począł nieśmiało.

— Mówią, że młody król na tę samą pannę rzucił okiem i że królowa, aby go od przyszłej małżonki odstręczyć, patrzy na to przez szpary... hm!...

Boner zrozumiał, ale się zmarszczył.

— Mówisz o pięknej Dżemmie? — zapytał.

Głową potwierdził Dudycz, a uśmiech politowania prześliznął się po ustach pana podskarbiego.

— Żal mi cię, mój Dudycz—rzekł—ale na miłość, jak na śmierć, lekarstwa nie masz!

Poruszył ramionami i zamilkł.

— Czegóż tedy właściwie chcesz? — odezwał się po dość długiej przerwie, w czasie której Dudycz się jaśniej nie zebrał tłómaczyć. — Król nie ma mocy nad fraucymerem żony; jeżeli Bona sobie tego nie życzy,

Włoszka owa także pewnie młodego króla będzie wolała, niż starego dworzanina... w czemże my ci pomódz możem?

Petrek podniósł oczy.

— A jeśli staremu panu dokuczy to, że młoda królowa przybywszy, źle będzie przyjętą... bo młody król gdy się rozkocha... nie zechce do niej przystać? Juścibyście się Włoszki pozbyć radzi zawczasu, a ja ją gotów jestem wziąć.

Boner słuchał, ale obojętnie i dumnie.

— Wiesz Dudycz — rzekł w końcu — rachunek twój nie głupi, to prawda, ale przeciwko nam, to jest przeciwko najjaśniejszemu panu naszemu, może kto chce używać broni intryg nikczemnych, podstępów i zdrady, on nigdy, nawet w obronie najświętszych praw, tej podłej broni nie użyje. Stara królowa niech czyni co chce, spodziewamy się ją zwyciężyć w sposób bardzo prosty i jasny, młode małżeństwo usuwając z pod jej wpływu. Naostatek, mój Dudycz, łowisz ryby przed niewodem, wszystko to tylko projekty i domysły.

Przykro było taką obojętną odpowiedzią zbytemu, z niczem odchodzić Dudyczowi... siedział jeszcze zadumany. Boner tymczasem z innego tonu, poufałej rozpoczął mówić do niego.

— Żal mi cię, mój stary — rzekł — bo wcale już młodym nie jesteś, że się ważysz na prawdziwe szaleństwo... Po co ci to? Padniesz w każdym razie ofiarą.

— A kiedy komu to miło! — odparł Dudycz. — Dziewczyna mi się haniebnie podobała... chcę mieć taką piękną, żeby mi jej wszyscy zazdrościli. Na to całe życie pracowałem, abym miał za co szaleć na starość!

Rozśmiał się Boner.

— Znałem takiego—odparł—co widząc człowieka zarzucającego sobie pętlę na szyję, aby się powiesić, stał, patrzał i ani się ruszył, a powiadał potem: wolna wola jego! kiedy mu życie obmierzło... Jabym ci też to powinien rzec.

Skłonił się Dudycz nic nie zmięszany.

— Wątpię, abyś Włoszkę miał za sobą, jeżeli młodemu panu w oko wpadła — odezwał się podskarbi.

— Teraz pewnie patrzeć na mnie nie będzie, ale poczekawszy — rzekł chłodno Dudycz i na chwilkę zamilkł, kończąc potem:

— Poczekawszy, panie podskarbi... jam nie prorok ale powiem panu, że i król stary i wszyscy wy będziecie radzi, że ja ją sobie zechcę wziąć. Otóż ja zawczasu się polecam...

To mówiąc skłonił się.

Boner, który go znał i nigdy o nim wielkiego nie miał wyobrażenia, teraz tak był zdumiony i miłością tą i cierpliwą jej rachubą i przewidywaniami Dudycza, że stał moment nie wiedząc co powiedzieć.

— Zwierzyłeś mi się — rzekł w końcu — ja ci za to nie mogę inaczej zawdzięczyć jak dobrą radą: nie rozplatuj zawczasu niepotrzebnie, co w końcu sam może później będziesz musiał porzucić i zaniechać.

Energicznie podniósł głowę Petrek.

— Nigdy w świecie — odparł stanowczo — ja co sobie raz postanowię, panie podskarbi, to muszę dokonać. Mało nie trzydzieści lat o chlebie i wodzie pracowałem, żeby się dorobić grosza... no, mogę lat kilka starać się o taką żonę, jaką sobie mieć zapragnąłem.

Skłonił się mówiąc to i wziął za beret włoski, który był na krześle położył.

Boner patrzył za odchodzącym w milczeniu. Poruszył ramionami i tak się rozstali.

W znanej nam pięknej komnatce z oknem na szerokie błonia za Wisłą, siedziała następnego poranku piękna Dżemma, ale dnia tego wyglądała całkiem inaczej. Twarz miała świeżą, rozweseloną, odmłodzoną, uśmie-

chającą się, dumną... promieniała zwycięztwem. W ręku trzymała robótkę, jedwabną chustkę, którą wyszywała we wzory, ale myślała o czem innem, a wzrok jej niekiedy zwracał się na komnatę, w której widać było rzuconą na poręcz krzesła sztukę atłasu różowego, cudnej barwy, i wiązkę złotych forbotów, przeznaczonych do jej przyozdobienia. Tuż na stoliku leżał przepiękny różaniec z koralów oprawnych misternie w złoto. Były to, jak się łatwo domyślać można, dwa świeżo otrzymane podarki. Ale nie one może tę wesołość na lica wywołały, coś więcej miała w duszy, gdy tak zwycięzko na świat patrzyła. Kiedy niekiedy srebrnym głosem, ale zcicha próbowała włoską jakąś nucić piosenkę, lecz myśli jej przerywały.

Wtem zaszeleściało od strony drzwi, które do sypialni prowadziły, i weszła młoda, piękna, ze śmiałem czarnych oczu wejrzeniem, dziewczyna. Rysy twarzy świadczyły, że Włoszką była i choć młoda, już postradała przedwcześnie tę dziewiczo-dziecięcą świeżość i urok, jakim Dżemma czarowała. Namiętny wyraz tłómaczył prędkie rozstanie się z młodością. Pomimo to była i czuła się jeszcze bardzo piękną, a wdzięk stracony zastąpiła pewność siebie i jakaś zuchwałość, która też ma wielką siłę. Szła na palcach, jakby Dżemmę pochwycić na czemś chciała...

Typ to był zupełnie odmienny, a najpospolitszy pod włoskiem niebem: bujny włos kruczej czarności, nieco kędzierzawy, oczy jak węgle, brwi bujne, usta koralowe, pełne, owal twarzy wdzięczny, formy bogate i już rozwinięte nieco zanadto może. Biała, bez rumieńców prawie, w twarzyczce miała wypisaną nieustraszoną odwagę, energię i jakby urąganie się ze światu. Usta i oczy piętnowało usposobienie namiętne.

Po chodzie musiała ją Dżemma odgadnąć, rzuciła robotę, podniosła oczy, czekała...

— Pracowita pani z ciebie — zawołała szydersko

przybywająca, której oczy padły na różowy atłas i koralową koronkę i usta się uśmiechnęły.—Trzebaż było choć te dary pochować.

— Chcę się niemi nacieszyć—odparła Dżemma— a kryć się z niemi nie myślę.

— Szczególniej przedemną—szydersko i ze śmiechem zawołała czarnooka, która już w białych paluszkach trzymała atłas a wejrzeniem pożerała złote forboty. — Szczególniej przedemną—powtórzyła—która to wszystko wiem na palcach, bo... bom i ja to przeżyła, opłakała...

Dżemmy brwi się ściągnęły.

— Bianko moja — odezwała się dumnie — nie wiem czy to coś ty przeżyła czeka mnie, ale mi się zdaje, że między tobą a mną jest wielka różnica.

Blade lice Bianki zarumieniło się nieco.

— Sądzisz? — podchwyciła — a! zobaczymy wkrótce, moja droga! Na co ci mam krótkie dni szczęścia zatruwać...

Wypuściła z rąk atłas.

— I ja odbierałam takie podarki, atłas tylko był innej barwy, a różaniec z kamieni...

Rozśmiała się szydersko, lice Dżemmy powlokło się chmurą.

— Zazdrościsz mi! — szepnęła.

— Nie, już teraz, nie — rzekła Bianka — bo wiem, że te rozkosze nie mogą trwać i że je potem łzami zapłacić potrzeba, a raz płakałam już długo, długo... i ze łzami poszła miłość.

Ręką w powietrzu pokazała, jakby ptaszek uleciał.

— On był naówczas młodszy — poczęła po małym przestanku — a taki namiętny!... Zaprzysięgał kochać mnie całe, całe życie... a jam wierzyła w to święcie... Tymczasem Carita dorastała i wypiękniała, a nakoniec i tyś najpiękniejsza z nas zakwitła... Jam była zawsze pewną, że ten los cię spotka...

Dżemma słuchając w początku cierpliwie, w końcu rzuciła robotę z ruchem namiętnym.

— Nie mów mi tego — zawołała. — On wie, że z mojem sercem tak jak z waszemi igrać nie można... Ono raz tylko w życiu może kochać...

— Dżemmo — odezwała się spokojnie Bianka — moje też kochało raz, a teraz się bawi.

— Mojeby pękło, gdybym miała być zdradzoną — przerwała Dżemma.

Bianka spojrzała na nią z politowaniem, zbliżyła się do niej z powagą starszej, objęła wpół i lekki pocałunek złożyła na jej czole.

— Siadaj — rzekła — uspokój się; ja jestem niepoczciwa, że cię poję tą goryczą, lecz tak mi żal biednej Dżemmy zawczasu.

Włoszka siadła znowu w oknie jak wprzódy i sparła się na ręku zadumana. Tymczasem Bianka kręciła się po komnatce zaglądając wszędzie, przypatrując się wszystkiemu. Na chwilę rozmowa została przerwana.

Bianka Giorgi miała już rozpocząć ją na nowo, gdy ciężki chód dał się słyszeć u drzwi od kurytarza, uchyliły się one ostrożnie i okrągła, rumiana, rozlana twarz ochmistrzyni Zachemskiej w nich się ukazała.

Dżemma jako Włoszka nie należała do jej wydziału, mało widywała i nie bardzo lubiła... Domyślała się więc jakiegoś szczególnego powodu tych odwiedzin, które przyjęła dość zimno.

Ochmistrzyni mówiła wprawnie po włosku.

— Tak dawno, dawno nie widziałam pięknej Dżemmy — rzekła wchodząc — iż mijając jej drzwi nie mogłam się oprzeć pokusie... Pozwolisz się pozdrowić?...

Ulubienica młodego króla i starej królowej była teraz tak z pochlebstwy oswojoną i dworowania sobie przywykłą, że ją to nic nie zdziwiło. Przyjęła wymuszonym uśmiechem ochmistrzynię.

Bianka, której brwi się ściągnęły, bo musiała mieć

jakiś wstręt szczególny do Polki, zakręciła się tylko i wyszła.

Zamechska na pierwszem krześle najbliższym okna usiadła.

— Ślicznie mi wyglądasz dziś, moja królowo — odezwała się do Dżemmy — choć ty zawsze jesteś tak piękna!

— A wy, tak łaskawi! — szepnęła kwaśno Włoszka.

Nie wiodło się z rozmową. Ochmistrzyni wspomniała o kilku dnia tego wypadkach, o tem co królowa rozkazała, co na jutro się gotowało, o pannach wyznaczonych na służbę... Dżemma milczała główką potrząsając.

Tymczasem zwolna, jakby od niechcenia Zamechska poczęła z bocznej dobywać kieszeni pudełeczko, które uwagę Dżemmy zwróciło na siebie.

— Ty co piękną będąc, lubisz i umiesz cenić wszystko co piękne — poczęła zwolna ochmistrzyni — powinnaś zobaczyć to cacko... Właściwie zaszłam do ciebie tylko, aby ci je pokazać. Co też ty powiesz na nie?

I zwolna otworzywszy pudełko, Zachemska na kolanach Dżemmy położyła ową spinkę z rubinem, którą Dudycz jej wręczył.

Włoszka nic się pewnie nadzwyczaj pięknego nie spodziewała, zwróciła oczy obojętnie, lecz po chwili uchwyciła pudełeczko i wpatrzyła się zachwycona w maleńkie arcydzieło. Klejnot ten na chwilkę ją rozchmurzył.

— Prześliczna — zawołała, kładąc na kolanach pudełko.

— A! ja się na tem nie znam tak ja wy — odparła ochmistrzyni — ale i mnie się zdawało, że to klejnot godzien królowej.

— I zapewne należy też do najjaśniejszej pani — przerwała Dżemma.

Zamechska głową potrząsnęła.

— A czyjeż to jest? — spytała ciekawie.

Uśmiech jakiś niewytłumaczony dla Włoszki, przebiegł po szerokich wargach Zamechskiej.

— To moja tajemnica — rzekła — ale że u mnie nie ma gdzie nawet schować tak drogich rzeczy, tymczasem zostawię spinkę u ciebie. Będziesz mogła przypatrzeć się jej i nacieszyć.

Wejrzenia ich spotkały się, podziwienie odmalowało na twarzyczcze Dżemmy... — Milczała.

— Co to ma znaczyć? — zapytała.

Namyślała się Zamechska z odpowiedzią dość długo.

— Hm! — rzekła — toby mogło znaczyć, że ktoś się w tobie kocha gorąco, szalenie i radby bóstwo swoje przystroił, ale się lęka przystąpić do niego.

Dżemma natychmiast pochwyciła pudełko, zamknęła je i milcząc położyła na rękach ochmistrzyni.

— Ja podarków nie przyjmuję — rzekła sucho.

— Nawet gdy za nie dziękować nie trzeba? — dodała uśmiechając się Zamechska — możesz nawet nie pytać kto ci to przesyła.

— Nie jestem ciekawa — odezwała się Dżemma.

Pudełeczko leżało zamknięte, stara jejmość otworzyła je znowu, wyjęła spinkę i podnosząc ją w palcach przeciwko światłu, całą jej piękność starała się ukazać. Zwolna oczy Dżemmy spuszczone, zwróciły się na prześliczne cacko i spoczęły na niem długo.

— Bądź co bądź — mówiła Zamechska składając nazad spinkę na atłasowe posłanie — będę cię prosiła, piękna Dżemmo, abym spinkę mogła przynajmniej zostawić u ciebie. U mnie tyle się ciekawych dziewcząt kręci, a ja tak zapominam zamykać, otwieram tak często...

Dżemma nie mówiła nic, ale usta się jej skrzywiły dumnie.

— Królewski podarek — szepnęła ochmistrzyni i, wstawszy z krzesła, położyła pudełko na stole obok różańca.

Oczy Włoszki szły za nią, nie zaprotestowała przeciwko temu. Starej zdawało się, że o ile mogła i umiała, spełniła co jej zlecono. Nie obiecywała więcej. Klejnot miał w rękach Dżemmy pozostać, i czarowna jego siła powoli działać na kobietę, dla której był przeznaczony.

Uśmiechem i poruszeniem głowy pożegnawszy siedzącą, zadumaną Włoszkę, Zamechska z pośpiechem, nie dając jej czasu na odpowiedź, wyniosła się za drzwi.

Zaledwie się one za nią zamknęły, gdy Dżemma wstała ze swego w oknie siedzenia. Zbliżyła się żywo do stolika, pochwyciła pozostawione pudełko, dobyła z niego spinkę i powróciła z nią do okna.

Teraz dopiero mogła się przypatrzeć ze wszelkiemi szczegółami temu arcydziełu nie złotnika, ale rzeźbiarza, który maleńkim figurkom taki wdzięk i takie umiał nadać życie. Zapomniała pewnie o pochodzeniu tego tajemniczego podarku, cała była przejęta zachwytem. Spinka wydawała się jej niezrównanej piękności.

Po długiem obracaniu jej na wszystkie strony, szła już złożyć do pudełka z westchnieniem; gdy w otwartych nagle drzwiach ukazał się powracający z przejażdżki Zygmunt August, w czarnych, włoskiego kroju, sukniach, w płaszczyku na ramionach... piękny, a tak królewsko wyglądający, iż w nim każdy musiał domyślać się pana.

Nim miała czas Dżemma schować spinkę, król młody już ją zobaczył. Był on miłośnikiem wielkim drogich kamieni i wytwornych, kunsztownych, robót złotniczych, których później ogromne po nim zostały zbiory.

Widok klejnotu w ręku tej, której on tylko teraz miał prawo przynosić podarki, zdumiał go i zaciekawił.

Postąpił żywo i pochwycił spinkę, a uśmiech po ustach mu przeleciał.

— Nieprawdaż? cudnie piękna! —Zawołał.—Znam ją, bo mi przynoszono na sprzedaż, ale była za droga, a ja bez pieniędzy. Więc dobra matka moja kupiła, aby kochaną Dżemmę w nią ustroić. O! jakże wdzięczen jestem...

Włoszka się zarumieniła mocno, lecz nie śmiała, czy obawiała się, zaprzeczyć od razu... milczała, August trzymał w ręku spinkę i oczy mu się do niej śmiały.

— O! ci Włosi — zawołał — ci Włosi... co są za kunsztmistrze; żaden naród w świecie nie pochlubi się takiemi, jak oni, malarzami, rzeźbiarzami, rękodzielnikami. Ani Francuzi, którzy piękne też robią cacka, ani Hiszpanie, których broń bywa cudną, walczyć z Włochami nie mogą.

Król położył spinkę na stole, a oczy zwrócił na Dżemmę, która spragniona wejrzenia tego czekała. Obejrzał się dokoła, przyciągnął ją ku sobie i pocałunek złożył na ustach...

— Czekają na mnie— szepnął— do widzenia wieczorem...

Aż do progu towarzyszyła mu Włoszka... jeszcze jedno pocałowanie, i sama wróciła do—nie do okna i siedzenia, ale do spinki zaczazowanej. Wzięła ją w ręce. Dziwne myśli plątały się po główce...

— Dla młodego króla spinka była za drogą!— mówiła sobia — a ten ktoś nieznany kupił ją... dla mnie!

Któż to być może? Bogaty więc. Może który z książąt co na dworze bywali, co ją widywali przy królowej? Ostrogski jaki? szlązkie książątko czy niemieckie?

W myśli przebiegała ich wszystkich, ale obojętnie, szydersko, bo sercem i duszą była z Augustem. Na co jej byli ci wszyscy panowie, ci rozmiłowani książęta, miała jego jednego, a ten starczył na całe życie... Była pewną jego serca, kochał ją mocno.

Wtem na myśl przyszła jej Bianka i zarumieniła się z gniewu i dumy.

Jak ta dziewczyna śmiała swoje płoche miłostki z młodziuchnym królewiczem, porównywać do tej miłości wielkiej, poważnej, poprzysiężonej, która ją, Dżemmę, łączyła z królem, która nigdy ustać nie mogła!

Co ją to obchodziło, że go ożenić miano. On nigdy kochać nie mógł ani żyć z żoną. Narzucono mu ją, zadano gwałt—był królem, musiał to uczynić dla korony, dla starego ojca.

W Bonie miała Dżemma taką opiekunkę, matkę, obronicielkę.

A potrzebaż jej było innego sprzymierzeńca nad własny uśmiech i wejrzenie, nad siłę jaką miała?

Piosenka wyrwała się z piersi wesoło...

Patrzyła na spinkę, jednakże i mówiła sobie, ot tak, przez ciekawość pustą; — ktoby to mógł być taki?

Zgadywała, ale odgadnąć nie mogła.

Potrzeba było spytać Zamechską, która tajemnicy czynić z tego nie potrzebowała.

Zaczęła klejnot układać znowu na jego atłasowem posłaniu, chciała zamknąć, ale się go napatrzeć nie mogła, taki był śliczny.

Wypadałoż go zatrzymać? Trzeba go było oddać?

Nie żądano zań nic a nic... więc dlaczego nie miała zachować podarku. Wejrzenie jej padło razem na piękny różaniec koralowy, który się wydał pospolitym i ubogim. Nie mógł iść w porównanie z rubinem, który miał w sobie coś gorącego, jak ludzkie spojrzenie?

Dobrą godzinę przemarzyła Dżemma sam na sam ze spinką, i tak jakoś z nią się poprzyjaźniła, tak się do niej przywiązała, że się już wydawało niepodobieństwem ją zwrócić.

August król był tak roztargniony, tak mało zazdrosny, że pewnie już ani mógł spytać o pochodzenie podarku tego. Wyobraził sobie, że był ofiarą starej królowej, i więcej pewnie się o to nie troszczył. Tylko przy Bonie spinki wziąć i pochwalić się nią nie było można. Oko starej królowej widziało wszystko i wiedzieć musiało wszystko, co się tu działo. Onaby się nie dała zbyć domysłem, spytałaby i doszła kto przysłał, a może pogniewała się?

Ale czyż królowa sama podarków nie brała?

Wieczorem miał przyjść król jak zwykle, ale przed tą godziną spodziewała się Dżemma Zamechskiej, którą wypytać chciała.

Coś jej mówiło, że przyjdzie.

W istocie przed zmrokiem wsunęła się stara z uśmiechem na szerokich wargach.

— A co! królowo moja — rzekła — przypatrzyłaś się tej śliczności?

Dżemma nie taiła zachwycenia.

— Prawda!—zawołała — cudnie ładne cacko, ale gdybym nawet miała ochotę je zatrzymać, cóż powiem królowej, królowi? Zwrócą na nie oczy?

Ochmistrzyni się zadumała.

— Mnie się zdaje — rzekła — że byleś chciala i umiała, król pomyśli, że to dar matki, a królowa, że dar syna... Nie zmuszą cię do tłómaczenia...

Czulej niż zwykle Włoszka zbliżyła się do Zamechskiej, wdzięcząc się do niej jak dziecię pieszczone.

— Ale wy powiecie mi, od kogo ten dar pochodzi? —szepnęła.

— Siądźmy no—odparła ochmistrzyni—ja jestem ociężała, cały dzień na nogach i stać mi trudno. Mam z tobą mówić otwarcie?

Dziewczę głową rzuciło co żywo,

— A! proszę cię.

Pochyliła się ku niej Zamechska.

— Miarkujesz, że taki podarek książęcy wielkiej miłości dowodzi. Czy ona tobie miła czy nie, czy za nią zapłacisz lub nie dasz nic... co ci ona szkodzi? Mieć w zapasie miłość mężczyzny, choćby dla przyszłej zemsty... zawsze rzecz dobra.

Kochanek może nie podobać się wcale, ale zda się dlatego!

Westchnęła ochmistrzyni.

— Tobie dziś o tem mówić, wiem, że cię oburzy— dodała — ale jam stara, przeżyłam wiele. Wierz ty mi, królów miłość nie trwa długo...

Dżemma się oburzyła.

— Miłość nie równa miłości!—zawołała.

— Tak, moja droga, ale i najgorętsze się kończą, a która z nich najżywiej się pali, tem się prędzej w popiół obróci... Króla młodego ożenią.

Włoszka potrząsała głową.

— Przysiągł... nie opuści mnie.

Zamechska zamilkła.

— Powiedz mi tylko, kto przysłał ten podarek? — zapytała Włoszka.

Stara się mocno zakłopotała.

— Jeżeli, sądząc z niego, będziesz go szukała wysoko—rzekła—to się omylisz srodze. Człowieczek mały, biedny, ale cię kocha okrutnie.

— Mały! biedny! — powtórzyła Dżemma, i brwi się jej zmarszczyły, a usta dumnie wydęły.

— Mały, biedny... i śmiał oczy podnieść na mnie! — zawołała zcicha wlepiając wzrok w posadzkę, jakby w niej szukała słowa zagadki.

Ochmistrzyni przestała mówić.

— Któż taki? kto? — nalegała Dżemma—ja trafić nie mogę...

— Bo nie wiem, czyś nawet kiedy na tego biedaka spojrzała, a jednak zawróciłaś mu głowę. Cóżby to

było, gdybyś chciała go sobie pozyskać? Naówczas nie spinkę dałby dla ciebie... życie. Mieć człowieka tak oddanego sobie... a! Dżemmo! to coś warto.

Włoszka podniosła się z siedzenia z powagą królowej.

— Dla mnie?—odparła dumnie — ale zapominasz, że ja mam za sobą królowę, która tu jest wszechmocna, i młodego króla, który, jeśli nie ma jeszcze w ręku berła, to jutro je mieć będzie! Na cóż mi inni pomocnicy?

— Jeśli ty nie przewidujesz, aby ci byli potrzebni —odezwała się Zamechska—cóż ja ci mam mówić?

— Chcę jednak wiedzieć, kto mi spinkę przysłał! —nalegała Dżemma.

— Dobrze, z jednym warunkiem — rzekła ochmistrzyni — jeśli mi dasz słowo, że ją bądź co bądź zatrzymasz... On żadnej nie żąda wdzięczności. nie, nie!

— Zgoda — wesoło odpowiedziała dziewczyna.— Co mi tam! klejnot bardzo ładny, choćby człowiek, co go ofiaruje, był brzydki.

— Zgadłaś — odparła, śmiejąc się też stara.—Jużciż musisz wiedzieć o Petrku Dudyczu?

Krzyk wyrwał się z piersi dziewczyny, która załamała ręce.

Ten śmieszny, niezgrabny, wystrojony na pokaz i pośmiewisko, stary, gburowaty dworzanin, z którego dwór cały drwił sobie... ten śmiał na nią podnieść oczy.

Gniew i oburzenie nie dało jej mówić. Chciała biedz po pudełko, aby je rzucić pod nogi Zamechskiej, która patrzała na nią cierpliwie.

— Nie gniewajże się!—rzekła. — Słońce i żabom świeci! Śmieszny jest, ale pan całą gębą. Nie jeden z tych, co tu paradują jak magnaci, nie wyrówna mu zamożnością. Możesz z podarku wnosić, że mu o pieniądze nie trudno.

— Ale ja nie chcę znać ani jego, ani bogactw tych

—zawołała Włoszka zrozpaczona. — Nie zniosę, uby się miał zbliżyć do mnie, nie pozwalam, aby na mnie patrzył! Nie, nie...

— Tego trudno mu zabronić—przerwała Zamechska—ale od ciebie on nic nie żąda.

To mówiąc ochmistrzyni, która za pierścień się wypłaciła, wstała, nie chcąc dłużej przedłużać rozmowy. Poszeptała coś cicho Dżemmie i wyszła, a spinka została.

Co się później działo z Dżemmą, aż do tej godziny uroczystej, gdy wystrojona z lutnią w ręku przyjęła wchodzącego po cichu młodego króla, ile razy wzdrygnęły się jej białe ramiona na wspomnienie Dudycza, jak sobie obiecywała przy pierwszej zręczności wzrokiem go spiorunować... jak postanowiła zniechęcić i odstręczyć, opowiadać nie będziemy.

Nazajutrz Petrek wiedział już, że podarek przyjęty został, i zatarł ręce wielce szczęśliwy, jakby mu nie szło o nic więcej.

Ochmistrzyni razem nie kryjąc się przed nim, opowiedziała jak go przyjęto, jak dziewczę było dumne, nieprzystępne, i jak mało mógł się po niem spodziewać.

Wszystko to na Dudycza zdawało się bardzo małe czynić wrażenie. Miał jakieś własne swoje pojęcia, plany i rachuby. Dziękował ochmistrzyni, jakby mu największą wyświadczyła łaskę.

Z jednej strony rachując na zachowanie dobre u starej królowej, z drugiej na pewne stosunki z ludźmi, otaczającemi króla... mając obietnicę umieszczenia u boku młodego pana, wahał się teraz do jakiego obozu przystać było najkorzystniej.

Sympatyi szczególnej nie miał do nikogo, przedewszystkiem kochał siebie.

Iść pod wodzą pana Bonera przeciwko Bonie i młodemu królowi, mogło coś obiecywać; ale Włoszki się obawiał. Z Boną trzymać, znaczyło, że musiał długo czekać, nimby Dżemma jej stała się niepotrzebną.

W tej niepewności jak dawniej tak i teraz pozostał na stanowisku neutralnem, wypatrywać, czekać, a pierwszą zręczność nadającą się zużytkować.

Wiedział, że za kilka miesięcy przybyć miała młoda królowa... Walka rozpocząć się musiała natychmiast po jej przyjeździe, a pociągnąć długo nie mogła, bo Bona powoli działać nie umiała... Król był stary i coraz słabszy... Nie taił przed sobą, że ciernistą miał do przebycia drogę; ale gdy spojrzał zdala na to cudo piękności, które miało być trudów nagrodą, powiedział sobie: Będzie moją!.. żadna ofiara nie zdała mu się za wielką.

Wszyscy mieli Dudycza za bardzo ograniczonego człowieka; trudna i niezgrabna, jak on sam mowa, jeszcze mocniej przekonanie to utwierdzała; żartowano sobie niemal z jego głupoty. On sam nigdy się za bardzo rozumnego nie miał, ale czuł, że teraz jakaś gorączka, na pół ambicyi, pół miłości, nadawała mu siły i rozum, jakich nie miał nigdy.

Patrzał na ludzi i zdawało mu się, że ich na wskroś widział i rozumiał, obmyślał plany i czuł, że nie były najgorsze. Nie odznaczały się one wymysłami zbyt skomplikowanemi, proste były niezmiernie, lecz znajomość pospolitej natury człowieka służyła im za podstawę. To pewne, że kto na słabości ludzkie, miłość własną i próżność, chciwość, pragnienie zemsty itp. rachuje, ten się rzadko myli.

Dudycz też nie był teraz tak głupim, jak go sądzono.

Parę razy pokazał się przy dworze starego króla, do którego zawsze jeszcze się liczył, nawijał się na oczy Bonerowi i innym, ale nikt go tu nie potrzebował, ani nawet raczył na niego spojrzeć. Poszedł więc na przesmyku czatować, ażali stara królowa okiem na niego nie rzuci, nie powie mu dobrego słowa... To mu się powiodło lepiej.

Bona wiedziała wszystko i zdaje się, że miłość

śmiesznego Dudycza dla pięknej Dżemmy nie była dla niej tajemnicą, może więc już teraz rachowała na niego, gdy się Włoszki pozbyć będzie potrzebowała.

Znała syna, przewidywała, że miłostki te ostygnąć i skończyć się muszą. Naówczas Dudycz służyć mógł na to, aby się pozbyła ciężaru. Czy z tego powodu, czy że potrzebowała sług wielu, a oderwać ich chciała przeciwnikom, królowa łaskawą twarz okazała Petrkowi.

Przechodząc w parę dni potem około niego, stanęła.

— Masz tam co do czynienia przy królu! — spytała.

— Tam mnie nie potrzebują—odparł Dudycz.

Bona głową skinęła i poszła, ale upłynęło sporo czasu a zapytanie to żadnych nie wydało owoców. Petrek regularnie przychodził na zamek, najdziwaczniej ubrany, jakby śmiechy chciał wyzywać, stawał to tu, to owdzie w oczekiwaniu rozkazów, nikt mu ich nie dawał. Do wieczora męczył się tak błądząc po antykamerach, przysiadując na ławach, ofiarując posługi, których nie przyjmowano; najczęściej późno powracał do miasta, kogoś sobie potrzebnego zaprosiwszy na wino.

Unikano Dudycza, bo jego towarzystwo ośmieszało ludzi, co z nim trzymali, lecz ci, co potrzebowali pieniędzy, przypochlebiali mu się. Dudycz gdy wyrachował, że datek się opłaci, dawał choć oszczędnie.

Od czasu ofiarowania spinki pięknej Dżemmie, chociaż Włoszka wzgardliwie, ostro, dumnie patrzała na niego i widocznie unikała, Petrek niezrażony, uparcie się jej nastręczał.

Łajała go czasem — kłaniał się—a nazajutrz miała znowu przed sobą tę niezgrabną postać z małym nosem. szerokiemi ustami i chudym wąsem na przestronnem polu.

Wielce ją to niecierpliwiło, gniewała się, a w końcu Zamechskiej powiedziała, aby Dudyczowi zakazała tego prześladowania.

Mówić do niego o tem, było to groch rzucać na ścianę, słyszał, ale nie słuchał.

Spinka była przyjęta.

Dudycz łamał głowę, coby teraz miał posłać takiego, tak pięknego i ponętnego, ażeby Włoszka na żaden sposób odmówić przyjęcia nie mogła,

Wiedział, że drugi podarek trudniej daleko będzie jej narzucić niż pierwszy, a stał przy swojem, że ujmie piękną dziewczynę książęcemi podarkami.

Sam on nie znał się tak dalece na wyrobach kunsztu i nie umiałby był może rozróżnić włoskiej roboty od domowej, ale miał Włocha artystę, którego ujął był sobie. Kazał mu szukać znowu co najprzedziwniejszego klejnotu. Nie zbywało na nich naówczas w Polsce, bo stosunki z Włochami i handel wszelkiego rodzaju wyrobami ożywiły. Z Wenecyi i Genui płynęły tak misterne filigranowe łańcuchy, pasy, naszyjniki, pierścienie. Zwyczaj dawania podarków przedaż ich zapewniał: wielu możnych miało takie w klejnotach upodobanie, że niemi całe skrzynie zapełniało.

Łatwo więc przyszło Dudyczowi, który na to pieniędzy nie żałował, napatrzeć pas filigranowej roboty, tak piękny, iż się ludzie oglądać go zbiegali. Był bardzo drogi, ale Petrek nie dbał o to, chodziło mu, aby nie miał równego. Z kolei więc z dziesiątek uproszonych znawców prowadził, aby pas ocenili i powiedzieli, jak się im wydaje. Wszyscy uznawali go arcydziełem. Dudycz potargował się trochę, zapłacił i zabrał. Łamano sobie głowy dla kogo? a że nie młody był i niezgrabny, wyśmiewano się z niego.

Jednego ranka Zamechska zobaczyła go wchodzącego znowu. Zaczął od tego, że po przywitaniu złożył jej w ofierze kilka par, drogich naówczas, szytych mister-

nie, wonnych i bardzo ozdobnych rękawiczek. Poznała, zaraz, że czegoś od niej żądać będzie.

— W. miłość jużeś raz mi okazała łaskę swoją... ja znowu się cisnę pod jej skrzydła...

— A! panie Pietrze—żywo odparła stara—skrzydeł nie mam, a co się raz udało, to drugi już pewno się nie powiedzie.

Dudycz głową potrząsnął i dobył z pod płaszczyka pudełko, nie mówiąc słowa, otworzył je i pokazał złocisty pas—istne cudo. Zdawał się z cieniuchnych jak włos nici upleciony, wydzierzgany, wyhaftowany. Każde kółko, każde ogniwo, każda cząstka tyle miała w sokie splotów, zgięć misternych, fantazyjnych linij, że oko się w tem gubiło. Jakiej to pracy i cierpliwości, ile czasu było potrzeba, aby z tych cząsteczek, tak ślicznie i starannie wykonanych, utworzyć dzieło tak bogate i rozwinięte szeroko?

Zamechska stanęła osłupiała i zamyślona.

— Jak ten człowiek ją kocha!—myślała sobie.

Dudycz uśmiechał się.

— A co? — rzekł — albo dar nie wart królowej? Niech się nim zabawi, ja nic za niego nie chcę, nic... nawet żeby na mnie spojrzała; niechaj tylko wie, żem uparty...

— Ale do czegóż ci to — rzekła zafrasowana Zamechska—kiedy tem sobie serca nie pozyskasz,

— Co w. miłości szkodzi, że się głupi człek durzy? —odparł pokornie Dudycz.—Byle przyjęła, byle się nim opasała, ja więcej nie chcę nic...

— Toć ludzie zobaczą!—zawołała Zamechska.

— Pomyślą, że ją tak król stroi—odparł Dudycz.

— A król?

— Król na to zważać nie będzie.

Ochmistrzyni się wahała jeszcze, gdy Petrek w rękę ją pocałował, pudełko porzucił i poszedł.

Iść z tym darem nie miała stara odwagi.

Dumała i namyślała się długo.

W południe, gdy panny wszystkie były przy królowej, stara ochmistrzyni ostrożnie się wkradła do komnaty Dżemmy, pudełko położyła na stole i wyśliznęła się niepostrzeżona.

Wkrótce potem piękna Włoszka wróciła do swego mieszkania. Siadła w oknie odpoczywać, była smutna i nierychło, szukając roboty na stole, spostrzegła pudełko.

Z niecierpliwością otworzyła i krzyknęła z podziwu i radości. Takiego właśnie coś życzyła sobie, filigranowy ów pas to było jej marzenie!

— Król był i musiał je zostawić! — zawołała klaszcząc w dłonie,

Ubrała się natychmiast. Tak przypadał jej do pasa, do sukni, do miary, jakby robiony był dla niej. Chciała w nim przyjąć wieczorem Augusta...

Lecz jakież było zdumienie pięknej Dżemmy, gdy August zimno, a nawet trochę gniewnie, oświadczył jej, że nie on ten pas tu położył, że wcale nie wiedział o nim.

Królowa dać go nie mogła, był zanadto kosztowny, a ona zwykle małemi podarkami zbywała nawet najulubieńszych sobie.

Późno już niespokojna pobiegła do Zamechskiej.

Ochmistrzyni była do tych odwiedzin przygotowaną.

Włoszce twarz się paliła z gniewu... może nie, żeby ją podarek obraził, ale że musiała go odrzucić, nie przyjąć, a tak szkoda było pozbyć się tej ozdoby, którą przez chwilę miała już za swoją.

Zamechska się zaparła. Nie wiedziała o niczem.

— Może być i najpewniejsze to, że on ci go przysłał—rzekła—nikt inny, ale nie przezemnie. Użył kogo innego... Ja o tem nic nie wiem, a ty siedź cicho. Schowaj go i nie łam sobie głowy.

Rozprawiwszy się burzliwie z ochmistrzynią, Włoszka z pasem wróciła do siebie. W nocy myślała i prze-

myśliwała długo. Bona, która wiedziała o wszystkiem prędzej, później i o tem się dowiedzieć musiała. Nie pozostawało nic, tylko wyznać prawdę i poddać się rozkazom. Ona miała osądzić winowajcę.

Codzień prawie rano królowa sama obchodziła mieszkania żeńskiego dworu swojego, gdzie nic jej oka nie uchodziło. U Dżemmy siadała czasem odpocząć chwilę, ta była w łaskach teraz.

Zaledwie królowa zajęła miejsce zwykłe, gdy Dżemma u kolan jej uklękła. Miała skargę, żal wielki do powierzenia swej pani. Opowiedziała otwarcie o zabiegach Dudycza, o tem zuchwałem narzucaniu podarków, prosiła o karę na przestępcę.

Zimno wysłuchała opowiadania Bona, i kazała sobie naprzód pokazać klejnoty, na których widok okrzyk zdumienia z ust się jej wyrwał. Umiała doskonale ich wartość ocenić. Potrząsała głową i uśmiech szyderski zakończył wykrzykniki i pochwały.

Gniewu nie okazała najmniejszego.

— Schowaj to—rzekła—nigdy podarków, zwłaszcza tak pięknych i kosztownych, odrzucać nie należy. Co ci to szkodzi, że stary szaleje za tobą!

— To mi dokucza! to niemal mnie śmieszniejszą czyni! — odezwała się Dżemma. — Ściga mnie oczyma, chodzi za mną, miłość jego mi uwłacza.

Bona słuchała zimno.

— Chcesz się go pozbyć na czas jakiś?

— A! radabym na zawsze—odparła Dżemma.

Dziwnie spojrzała na nią królowa.

— Nie zważaj na niego — dodała—tymczasem ja się postaram o to, abyśmy z Krakowa się go pozbyli! Naganić mu nie mogę, że się w tobie kocha... miłość wszelką przebaczyć potrzeba. Szkoda, że tak brzydki i stary.

Łzy stanęły w oczach Dżemmie.

— A ja żadnej miłości nikogo na świecie nie potrzebuję—odezwała się.

Bona wstała nie odpowiadając jej na to, przeszła w milczeniu komnaty i zostawiła ją samą.

Wieczorem Dudycz stał na przesmyku, aby się królowej pokłonić i przypomnieć, i sądził że go pominie jak zwykle, gdy Bona zatrzymała się i skinęła aby się zbliżył.

— Przyjdziesz do mnie jutro rano!

Miało-li to oznaczać łaskę, czy przeciwnie, skarcenie może, nie odgadł Dudycz. Twarz starej Włoszki nie zdawała mu się zbyt gniewną. Łamał sobie głowę domysłami i raniuteńko był w przedpokoju.

Tu czekać musiał dosyć długo, nim go, po innych wielu, wpuszczono.

Bona siedziała w swem rannem poduszkami obstawionem krześle ogromnem, z głową zawiniętą czarną chustą koronkową, z nogami wyciągniętemi na wysłanym wysoko podnóżku, w rękach przebierając papiery, któremi stół przy niej stojący był zarzucony.

Szydersko popatrzyła na strwożonego nieco Dudycza, który na to ranne posłuchanie stroił się równie pretensyonalnie i dziwacznie jak zwykłe na pokoje. Strój ten od fizyognomii zestarzałej i brzydkiej odbijał w sposób rażący, czyniąc ją śmieszną.

W chwili gdy się spodziewał napomnienia może, Petrek usłyszał głos dosyć łagodny.

— U króla nie masz pono co robić—rzekła—jest ich tam bez ciebie dosyć; a mnie trzeba pewnego posła. Prosiłam aby mi cię użyć pozwolono.

Pojedziesz z listem.

Tu królowa jakby naumyślnie się wstrzymała. Pojedziesz z listem, mogło oznaczać zarówno kilkumilową podróż i najdłuższą w świat wędrówkę. Dudyczowi opuścić teraz Kraków, było tak okrutnie trudno! Lecz królowej się sprzeciwić, starać wymówić nie było sposobu. Najmniejsza rzecz ją obrażała... Dudycz się skłonił.

— Pojedziesz z listem—powtórzyła po chwili.

I znowu nastąpiło drażniące niepewnością milczenie. Stał biedny ale jak na żarzących węglach.

Dokąd miał jechać.

— Przygotuj się do podróży — dodała Bona — a potem przyjdź po list. Pojedziesz do Wiśnicza do Kmity, lub gdziekoiwiek on jest, bo i w Przemyślu może przyjdzie go szukać. Musisz mi przywieźć odpowiedź.

To powiedziawszy królowa, wzięła papier inny, a Dudycz wyszedł oddychając wolniej. Podróż do Wiśnicza była bardzo małą przejażdżką, a w każdym razie Kmita nie mógł być daleko.

Cały dzień ten Dudycz poświęcił swemu wyborowi w drogę. Nadchodziła zima, czas był do jazdy niezbyt miły, ani też wygodny, ale odległość nie wielka. O Kmicie, gdzieby on był, naówczas w Krakowie z pewnością się dowiedzieć nie mógł. Mówiono różnie.

Dudycz w każdym innym razie mógł śmiało wycieczkę tę odbyć z jednym konnym sługą, ale jako poseł królowej i jako możny człowiek, pragnął przyzwoicie wystąpić. O ile dotąd skąpił i łatał stare opończe (które zamknąwszy się sam na sam i teraz donaszał), o tyle jako zbogacony ziemianin ziemi krakowskiej, a przyszły mąż pięknej Włoszki, pragnął świetnie się okazywać, aby nikt nie wątpił, że do możnych należy. Jak cię widzą, tak cię piszą, powtarzał sobie.

Zamiast więc jednego pacholika, brał jezdnych pięciu i rodzaj jednostajnej barwy, jednakie rzędy na konie, oręż i t. p, musiał im obmyśleć. Na rzeczy szedł wóz okryty skórami, w którym mieściło się co potrzebnem było do podróży i dla wystąpienia na pokojach.

Kmitę znał dotąd Dudycz z tego wielkiego rozgłosu jaki miało jego imię z opowiadań, które o nim krążyły, zdaleka go widując gdy w Krakowie przebywał. Chociaż z listem tylko od królowej jechał do niego, przystęp do człowieka takiego, jakim głoszono Kmitę, wcale tak prostą rzeczą, jak się wydawało, nie był.

Kmita już naówczas był jedną z najwybitniejszych najgłośniejszych osobistości w Polsce, którą jedni wynosili pod niebiosa, drudzy czynili warchołem zuchwałym i niebezpiecznym.

On i hetman Tarnowski, nieprzejednani wrogowie, wiedli z sobą walkę, która o ile hetmanowi była obrzydłą i nieznośną, o tyle Kmicie dogadzała, bo go podnosiła.

Można powiedzieć o tym panu, że on pierwszy w nowych dziejach wewnętrznych Polski uosabiał całą butę zuchwałą magnata-szlachcica, ze wszystkiem co ona miała w sobie szlachetnego i zgubnego. Nienasyconej ambicyi, niezrównanej dumy, wszędzie i zawsze pragnący być pierwszym, Kmita nie wzdragał się sobie do tych stopni, których chciał dosięgnąć, drogę torować mieczem i krwią. Gdzie nie mógł dojść godziwemi środkami, gotów był dobijać się sposobami najniegodziwszemi. Miał czy nie słuszność, kto mu się opierał, zwyciężyć musiał, bodaj to nie wiem co kosztować miało.

Dla rozgłosu, dla sławy, dla potęgi, tak samo ponosił ofiary czyniąc dobrze, pomagając ludziom, zakładając klasztory, wyposażając duchownych.

Lecz z drugiej strony, po nadaniach dla kościołów i zakonów, nazajutrz przez chciwość, bo był żądny grosza zawsze, zabierał dziesięciny, zajeżdżał pola, grabił majątki duchownych.

Pieniądze jednego dnia rozrzucał z marnotrawnością niezmierną, nazajutrz rabował najcyniczniej.

Czysta, wspaniała, bohaterska postać spokojnego hetmana Tarnowskiego, górująca po nad innemi tego

czasu, ten ideał wodza i obywatela, był dla niego solą w oku.

Obok Tarnowskiego postawiony, w istocie musiał się wydawać Kmita przy całej swej potędze magnata jakim został po śmierci brata, warchołem tylko i awanturnikiem.

Gdyby nawet zmienił obyczaj później potrzebnego umiarkowania, wspomnienie wybryków młodych lat ciężyłoby na nim i prześladowało go. Ale ani temperament wiekiem nieposkromiony, ani nałogi nabyte, ani naostatek ludzie, któremi się otaczał, nie dozwalali mu się odmienić.

W Przemyskiem drżało cokolwiek z nim sąsiadowało i teraz... a dwór Kmity, złożony z ludzi po większej części wywołańców, znano niemal jako szajkę rozbójniczą. Nie było między nimi ani jednego, któryby głośnym nie był z kilku popełnionych morderstw, ni jednego, któryby opuszczony przez Kmitę nie godził się pod miecz katowski. Protekcya i osłona marszałka dawała im jednak bezpieczeństwo. Rozumie się, że on życie ich trzymając w swem ręku, rozporządzał też niemi jak chciał, i że na rozkaz jego musieli być na wszystko gotowi. Dla pokazania mocy swojej, Kmita tak samo teraz dawał na dworze schronienie wszystkim, co byli w walce z władzą duchowną i kościołem. On się opiekował Orzechowskim ożenionym, on wychowywał Marcina z Opoczna i Krowickiego. Nie zrywał z katolicyzmem jednakże, liczył się do gorliwych nawet, lecz gdy szło o popis potęgi, gotów był na wszystko. Jemu bezkarnie uchodziło najpoczwarniejsze urąganie się z prawa.

W człowieku tym, jak w wielu jemu podobnych, było dwu ludzi: jeden gładki nieokrzesany na cesarskim niegdyś dworze, postacią piękną i pańską, słodką mową ujmujący; drugi rozpasany, dziki, niepohamowany.

W Krakowie, w pośród magnatów i książąt, otoczony świetnym dworem, który żadnemu innemu nie ustępował, Kmita należał do tych wybranych wychowańców zachodu, ówczesną Polskę najwytworniejszym dworom europejskim czyniących równą i podobną. Tu tylko olbrzymia duma mogła go odróżnić od uczniów innych akademii włoskich, od dworzan królów rzymskich i cesarzów, bo miała w sobie coś dzikiego niemal.

Zupełnie innym znowu był Kmita u siebie w domu w Wiśniczu, na łowach, we dworach swoich w Przemyskiem, gdy go otoczyli owi osławieni Szczerbowie, Pełkowie, Rozborscy, Kumelscy i Odolińscy.

Kmita z niemi zapominał się, zrzucał swe dostojeństwo i rozpasywał w ucztowaniu, które się często krwawo kończyło.

Biesiad tych pamięć pozostała długo... On sam może ich się wstydził, lecz wyrzec się nie umiał, Skąpy, nienasycony, w chciwości złota, przy stole gdy się napił, rozsypywał je, rozdawał ziemie, marnotrawił co wczoraj wydarł, i w towarzystwie zbójów dziczał a szalał. Następowało potem obrzydzenie ich i samego siebie, lecz kto się raz związał z takiemi ludźmi, temu pozbyć się ich, mimo ohydy trudno. Kmita zresztą ich potrzebował tak jak oni jego, bo ambicya, współzawodnictwo z Tarnowskim, pokoju nie dawały. Musiał się bronić, gwałt jeden wywoływał drugie.

Dudycz wybierając się do Wiśnicza, myślał o tem wszystkiem co kiedykolwiek słyszał o Kmicie, nie był bez pewnej trwogi tego spotkania się z faworytem i powiernikiem królowej; a byłby daleko mocniej się frasował, gdyby mógł przeczuć co wiózł pod pieczęcią w liście Bony...

Było w nim pozdrowienie, kilka słów nie łatwych do zrozumienia i żądanie do marszałka, aby przywożącego list starał się przez czas jakiś zatrzymać u siebie, choćby pod pozorem odpowiedzi.

Królowa chcąc Dżemmę oswobodzić od natrętnego wielbiciela, wyprawiła go, a do instrukcyi należało, jeśliby Kmity nie znalazł w Wiśniczu, jechać za nim tam, gdzie się mógł znajdować.

Z osławionej gromady Kmitowczyków, Dudycz znał kilku. Pełka, Janko i Piotr Biały gościli u niego niegdyś w pobliżu Wieliczki i był z niemi dosyć dobrze. Na te stosunki z dworem marszałka liczył też Petrek wiele.

Nie dojechał jeszcze do Wiśnicza, gdy na nocleg zaciągnąwszy do gosdody we wsi kościelnej, gdy konie zobaczył wierzchowe u żłobu, a rozpytywać począł czyjeby były, dowiedział się, że w izbie u żyda w betach leżał właśnie ranny ten Pełka, którego znał dawniej.

Na rękę mu było dowiedzieć się coś od niego, wszedł więc do alkierza, z którego gwałtem wyrzuciwszy rodzinę gospodarza, rozgospodarował się w nim Jacek Pełka. Z poduszek i pierzyn, w które się zaszył słynny rębacz i zbój, ledwie wąsata a wygolona twarz wyglądała i oczy w niej krwią zabiegłe. Nie poznał go zrazu jęczący od ran sługa Kmity, dopiero gdy mu się Dudycz przypomniał, spojrzał nań łagodniej.

Drugi dzień temu na popasie tu Pełka zjechawszy się z dwoma ziemianinami, gdy o postawienie koni do sporu przyszło, dobywszy szabli głowę mając zapruszoną, tak się zaciął z niemi, że padł na ziemię krwią zlany. Uciekli oni wiedząc z kim mieli do czynienia, a Pełka musiał czekając na wóz położyć się w gospodzie, ledwie rany poobwiązywawszy.

Zaczął więc rozmowę od opowiadania i wyklinania tych, co się ośmielili napaść odeprzeć i klął się, że oba dwory popali a ich powiesza.

Nierychło się Dudycz mógł od niego coś dowiedzieć, oznajmując, że z listem od królowej jedzie do Kmity do Wiśnicza.

— Darmo go tam nie szukaj — odparł Pełka. — Wybrali się z Rozborskim nad San, ziemian uczyć rozumu. Kupa ich pociągnęła duża, i że zwycięzko wyjdą a na swem postawią, wątpliwości niema; ale potem tryumfy obchodzić będą i jak ucztować poczną, nierychło się wytrzeźwią, by do Wiśnicza mogli powrócić.

Dudyczowi wcale nie smakowało gonić za tą wyprawą, do której czynnie się mieszać nie chciał, bo z Kmitą idąc mógł też łatwo za niego oberwać. Wolałby był oczekiwać na marszałka w Wiśniczu, lecz rozkaz królowej był wyraźny.

Wątpić o tem, co Pełka powiadał, nie miał najmniejszej przyczyny, nikt nad niego lepiej wiedzieć i przewidywać nie mógł, gdzie się Kmita obraca.

Trzeba więc było ciągnąć nad San, dalej, a choć rad był spełnić polecenie królowej jak najrychlej, iść w ogień nie miał ochoty. Postanowił więc ciągnąć dalej, nie śpiesząc zbytecznie, opiece Opatrzności się polecając.

Pełka, któremu w betach żydowskich z ranami tęskno było, zmusił go niemal dzień z sobą pozostać i musiał z nim warcabami się zabawiać i na rybie po żydowsku poprzestać.

Za to dalszą drogę mu tak dobrze wytknął Jacek, iż nie potrzebował już rozpytywać nikogo. Pełka bywał w tych wyprawach przemyskich nieraz, znał drogi, był pewnym, że Kmita innemi się nie uda. Zyskał więc Dudycz zawsze na spotkaniu, a że nazajutrz i wóz po Pełkę nadciągnął, pomógłszy go w nim umieścić, kabłąki przymocować i okryć — sam, w imię Boże, ruszył tropem Kmity ku Sanowi.

Jechał Dudycz smutny bardzo, choć miał raz w życiu tę przyjemność, że po drodze go dla towarzyszącej pokaźnej kawalkaty i wozu, z pewnem poszanowaniem przyjmowano.

Drogi były okropne, pora najprzykrzejsza w roku.

Przejście z jesieni do zimy, z zimy do wiosny, zwłaszcza w tych latach, gdy zima nie ostrą ma być i nie łatwo się ustala, w naszych krajach nieznośnem się staje. Mróz na przemiany z wilgocią, błoto z grudą, śnieg z deszczem, wichry gwałtowne, czas ten najmniej sposobnym do podróży czynią. A że Dudyczowi nie tyle może siebie (zahartowanym był) ile koni paradnych żal było, wlókł się więc opieszale.

Zbliżając się ku teatrowi owej wyprawy na krnąbrnego sąsiada, Dudycz dostał wcześnie języka o Kmicie. Głośnym on był na dalekie przestrzenie, bo się nie obeszło, aby i sąsiadom sąsiada i powinowatym a przyjaciołom nie dostało się, gdy Kmita moc swą chciał okazać. Drżeli więc i dalsi obawiając się, aby mu droga kędy nie padła około nich.

Jak się spodziewać było można, głoszono, iż Kmita a raczej Rozborski, bo marszałek wyprawił go ze Szczerbą tam, gdzie trzeba było ścisnąć i wieszać a palić, sprawiedliwość już sobie uczynił, że dwu ziemian ubito, nowe granice pozarąbywano i kopcami obsypano, i że wkrótce wszystko być miało skończone.

Naostatek prawie do miejsca krwawych tych zajść dotarłszy, nazajutrz Dudycz spodziewał się spotkać z Kmitą, dzieliło go od niego parę mil tylko.

Drugiego dnia gdy z noclegu ruszył, niespodzianie zerwała się śnieżna zawieja, i Petrek tak dobrze pobłądził, że, gdy się z południa rozjaśniło, znalazł się w tem samem oddaleniu od Kmity, jak był zrana. Złożyło się więc, że go albo wieczorem chyba w jego własnym dworze w Sanicy znajdzie, lub przybycie do rana odłoży. Tymczasem nocować z końmi nie było gdzie, pod noc więc ciągnąć musiał.

Po drodze już Rozborskiego i Szczerby widome ślady były... Tam gdzie stał dwór szlachcica sąsiada, około którego przechodził gościniec, natrafił Dudycz na świeże, dymiące jeszcze zgliszcza, a nad samą drogą

kilka trupów leżało. Wilcy je nocą poszarpali okrutnie. Widok był przerażający. bo oprócz tego na dwu drzewach trupy wisielców wiatr okręcał. Ze wsi, ze dworu, wszystko co żyło w lasy zbiegło, psy tylko wyły w pustkach i opalonych płotach i ścianach.

Dudycz wiedział bardzo dobrze, iż tak srodze pokarany ziemianin innej winy na sobie nie miał, oprócz że własności swej przeciwko silniejszemu panu bronić próbował.

Petrkowi nader było niemiłem zawsze, gdzie się dwu za łby brało, ze swoim przebywać, którego bronił i szczędził, i tu po nim ciarki przeszły, myśląc, czy aby ta rzecz była skończona, a do nowych zapasów nie przyjdzie?... Lecz do Sanicy bądź co bądź zdążać na nocleg musiał.

Na noc się zbierało, gdy chłopek powracający z lasu, wskazał Dudyczowi wieś dużą i dwór zdala światłami gorejący, w którym Kmita się miał znajdować. Podjechawszy bliżej okazało się jakby na prędce we dworze rozbite obozowisko, moc wielka wozów, koni, ludzi i spędzonego bydła,

Zaledwie tentent koni Dudyczowych tu posłyszano, czy się napaści lękano, czy odwetu, ruszyło się wszystko z wrzaskiem ogromnym i możeby z bronią w ręku przywitano gościa, gdyby Dudycz jednego ze swoich nie wyprawił przodem z oznajmieniem, że poseł od królowej z listem jechał nie kto inny.

Uspokoili się tedy upojeni i rozpasani żołnierze Kmity, a Dudyczowi na podwórze wrota otwarto. W niem jednak i dokoła w zabudowaniach, szopach pod opłotami, gdziekolwiek daszek był, taki tu ścisk znalazł, iż ani się było myśleć umieścić.

Dwór cały stał rzęsisto oświecony, a gwar, śpiewy i brząkanie dzikiej muzyki słychać z niego było. Z ludzi, którzy naprzeciwko przybywającemu wyszli, ani jednego Dudycz trzeźwym nie znalazł. Wpadłszy w ten

wrzątek, nie dobrze wiedział co miał począć, gdy naprzeciwko niemu wyszedł znajomy cioska jego Piotr Biały.

Biały był jednym z najzapamiętalszych zbójów u boku Kmity. Małego wzrostu, krępy, z krzywemi nogami, zajadła bestya, który ani swojej ani cudzej krwi nie żałował; słynął z tego, iż z okrucieństwem łączył dzikie szyderstwo, i zabijając ryczał ze śmiechu. Kto Białemu popadł w ręce, nie mógł się litości spodziewać. Potrzeba było kata, Biały się ofiarował męczyć i uśmiercać.

Wychodzący w przedsień, gdy Dudycz zsiadał z konia, poznał go Biały i krzyknął z podziwu.

— Co! tyś się tu zawieruszył!

— Królowa mi listy zwierzyła i kazała szukać z niemi marszałka.

Biały się zadumał.

— Toś go znalazł—rzekł—ale chyba dziś do niego nie przystąpisz. My do przyjmowania posłów nie gotowi. Pan nasz odpoczywa, a nie lubi, żeby mu dobrą myśl przerywano.

— Dajcież mi aby posłanie gdzie w ciepłej izbie i gdzie konie postawić—odparł Petrek—jam też zmęczony, poczekam chętnie do jutra.

Skinął na niego Biały. Weszli wewnątrz dworu, którego wszystkie izby pełne się być zdawały, a wrzawa w nich i krzyki panowały takie, jakby żaden dygnitarz się nie znajdował, ale rozpojone żołdactwo tylko. Nikt na nowoprzybywającego nie spojrzał. Przez sień przeprowadził go Biały do ciemnego ganku, a z niego do pustej komory, podobno jedynej w której nikogo nie było, bo ciasna nie nadała się do ucztowania. Przytykała ona jedną ścianką nie bardzo szczelną do ogromnej izby, w której Kmita ze swymi ulubieńcami już drugi dzień za stołami siedział.

Przez szpary Dudycz nietylko słyszeć mógł, ale widzieć co się tu działo. Na spoczynek i nocleg kąt był

nieosobliwie dobrany, lecz gdy innego nie miał, musiał się Petrek nim zaspokoić. Biały mu tu obiecał przysłać wszystko, czego mógł potrzebować, aby głodnym nie był i położyć się miał na czem. Oprócz tego zapewniał, że o ludziach, służbie i koniach mieć będą staranie. Nakoniec rzekł:

— Kto z obcych naszego pana zobaczy takim, jakim on teraz jest, temu on tego póki żyw nie daruje i nie zapomni, Jutro gdy go widzieć będziecie, strzeżcie się mu dać poznać, żeście cokolwiek tu widzieli lub słyszeli.

To mówiąc Biały palec podniósł i pogroził Dudyczowi, który i bez tego już był dość nastraszony.

Nocleg wprawdzie miał pod dachem i w dosyć ciepłym kącie, a wkrótce potem przyniesiono mu kawał pieczeni sarniej, misę klusek i spory dzbanek wina; ale to co go otaczało, nie dawało spokojnie się posilić. Dwór drżeć się zdawał od tego co się w nim działo. Tuż przez cienką ścianę Kmita dokazywał ze swemi, a Dudycz, który za młodu był nawykły nieraz się znajdować wśród pijanego tłumu robotników z żup w Wieliczce, parobków, woźnic i najdzikszej gawiedzi, choć oswojony z tem, bladł ze strachu, takie wrzaski, śpiewy, kłótnie, krzyki o uszy się jego obijały. Było to istne piekło.

Ostrożnie i z obawą Petrek wyszukał sobie szparę, przez którąby mógł przypatrzyć się temu sabatowi zbójów, i przyłożywszy oko do ściany, już go nie mógł oderwać.

Sala była wielka a raczej szopa prosta na grubych słupach drewnianych sparta, oświecona pochodniami, których płomień dymiący czerwonem światłem oblewał biesiadujących u ogromnego stołu, zastawionego w pośrodku niej.

Kmity zrazu spostrzedz nie mógł.

Siedział w końcu nad stołem biesiadników, na podwyższeniu okrytem suknem szkarłatnem, w krześle nakształt tronu, mając przed sobą stolik osobny, bogato za-

słany obrusem szytym złotem. Na dwu mniejszych stołach po bokach ustawione były naczynia srebrne i beczułki takież, konwie, dzbany i kubki.

Rozparty w kreśle swem, na pół leżąc marszałek, okryty delią futrem podbitą, w kołpaku sobolim z kitą, którego nie zrzucił z głowy, zwrócony był ku biesiadnikom.

Twarz jego piękna, szlachetnych rysów, ale płonąca ogniem, zaczerwieniona, lśniąca od potu, z oczyma jakby łez pełnemi i iskrzącemi się razem namiętnością, miała wyraz niesłychanej dumy i siły. Ręką jednak trzymał się w bok i z góry spoglądał na swych współbiesiadników. Dwóch z wygolonemi głowami wyrostków za podniesieniem, na którem on siedział, stało tuż, gotowi do spełniania rozkazów; stary, chudy, bogato odziany z łańcuchem na szyi marszałek jego dworu, za niemi na straży.

Na jedną chwilę nie spoczywał Kmita. Rzucał się na siedzeniu, rękami w powietrzu ciągle coś wskazywał, krzyczał, dawał rozkazy, zrywał się, padał na siedzenie, pił, nalewać dawał kubki i to je rozsyłał współbiesiadnikom, to sam spełniał, a raczej pochłaniał żarłocznie.

Lice mu się paliło, ręce drżały, oczy piorunowe rzucały wejrzenia, był jakby w gorączce jakiejś szalonego wesela i rozpasania... Dudycz słyszał nieraz o tych ucztowaniach Kmity, najczęściej krwawo się kończących, lecz nic podobnego nie mógł wyobrazić sobie. To co widział przechodziło jego pojęcie.

Strach go ogarniał patrząc, i choć ściana dzieliła go od Kmity, obawiał się oczów podnieść ku niemu, zwłaszcza gdy dostrzegł miecz obnażony, który miał tuż pod ręką.

Niżej nieco przy stole zasiadali wodzowie i ulubieńcy Kmity, jego zemsty posługacze, katy i zbóje, dla których nic świętego nie było.

Każdy z nich, jak mówił Rozborski, na rodzonegoby ojca się rzucił, gdyby mu Kmita go wskazał.

Twarze też tych ludzi, oprócz Kumelskiego, powiadały odrazu, co zacz oni byli.

Na każdej z nich wycisnęły się długie lata życia tego, pomiędzy mieczem kata a zbójectwem, bez nadziei powrotu do spokoju i do pospolitego trybu ludzi. Wiedzieli oni wszyscy, że żaden z nich śmiercią swą w łóżku nie umrze, ale gdzieś padnie w walce, albo na dnie wieży zgnije.

Żaden z tych wodzów nie miał domu, w którymby mógł choć jedną noc bezpiecznie przepędzić. Ci, którym Kmita dawał u siebie schronienie, bez broni stąpać nie mogli i bez straży; ci, co jak Rozborski mieli własne wioski, gośćmi w nich się tylko ukazywali.

Kumelski różnił się od nich powierzchownością, mogącą oszukać, choć od innych lepszym nie był. Natura dała mu pozór osobliwy pieszczonego papinka, elegantа, człowieka, co na dworaka grzecznego wyglądał, choć zbój był srogi, a okrutnik od innych sroższy.

W ręce Kumelskiego się popaść, znaczyło dostać się człowiekowi, który męczył dla przyjemności znęcania się i wyciskania krzyków boleści.

Czynił on to z udaną grzecznością, z szyderstwem, z zaciętością szatana. Ale kto go widział wystrojonego na dworze Kmity, z rękawiczkami u pasa, z beretem na uchu, we włoskich kosztownych sukniach i łańcuchach, z ustami słodyczą namaszczonemi, wątłego na pozór i delikatnego, brał go za stworzenie bezsilne i wyżyte.

Tymczasem żelazną wytrzymałością, tak samo jak okrucieństwem, Kumelski innych przechodził. Był to ulubieniec Kmity, robił z nim marszałek co chciał, bo ten każdą rolę odegrać potrafił.

Inni, począwszy od Białego, dwaj Szczerbowie, Pełka, Baranowski, Odoliński, Jurko, na policzkach posieka-

nych krwawemi bliznami, pozapisywane mieli lata swej służby u Kmity.

Za niemi dalej zajmowali miejsca wychowańcy, młodzież, która się pod wodzą tych nauczycieli usposabiała na toż samo życie zbójeckie.

To także była okrutna i niezbłagana gawiedź na wszystko gotowa, aby dowieść, że już była dojrzałą i że na własną rękę puścić ją było można.

Ogromne płótnem poobwijane deski, na których leżały pieczone mięsiwa, poobrzynane ze wszystkich stron przez biesiadników, zajmowały stół, zastawiony oprócz tego misami z polewką, kaszą, kluskami, owocami, serem w dużych gomółkach i twarogiem. Dzbany gęsto przy każdym prawie z biesiadników stały pod ręką, a oprócz nich Kmita to temu to drugiemu posyłał od siebie nalany przedniejszem winem kubek srebrny, bardzo kosztowny, który spełniwszy, biesiadnik śmiejąc się chował pod ławę i nie powracał już więcej.

Niektórym rozochocony Kmita, dowodząc jak im wdzięczen był, posyłał dzbany i misy. Przed jednym nawet stało półmisię pełne złotych pieniędzy.

Skąpy pan gdy się przy biesiadzie rozraczył, nierzadko tysiące rozposażał, czego potem żałował. Zbóje umieli z tego upojenia jego korzystać i po całych dniach i nocach go strzymywali u stołów.

Kmita, który w towarzystwie dostojniejszem, z cudzoziemcami umiał się znaleźć po pańsku, dobierać słów i okazać, żeć przecie niedarmo dworował przy cesarzu, tu się zdawał lubować w mowie rozpustnej, dzikiej, bezwstydnej. Najpospolitsze łajania witał uśmiechem, a gdy się gbury z sobą waśniły i porywały do siebie, przyklaskiwał im, jątrzył, pokaleczonych dopiero każąc rozrywać; przy stole też co chwila powstawały takie pojedynki słów i grożono sobie pięściami, a na pokrwawionych twarzach nie zbywało.

Dudycz przyległszy do ściany, z początku ani wyraźnie nic rozeznać nie mógł, ani w tej wrzawie coś dosłyszeć. W oczach mu się ćmiło i w głowie zawracało.

Gdy hałas zbyt był wielki, naówczas marszałek stojący za Kmitą, z jego rozkazu podnosił laskę swą białą do góry, i po kilkakroć uderzał nią silnie o ziemię—cisza powoli wracała.

Biały właśnie przystąpił do pana z doniesieniem, ale Kmita nic posłyszeć nie mógł. Nakazano uciszyć się wrzawie.

Dudycz naówczas mógł wyraźnie rozmowę usłyszeć.

— Dworzanin przybył z Krakowa od starej królowej—odezwał się.

Namarszczył się Kmita.

— Aż tu?—krzyknął—potrzeba mu było mnie gonić? Nie mógł to czekać w Wiśniczu?

— Pono miał takie rozkazy—rzekł Biały.

— Czego to stare babsko chce odemnie?—zapytał pogardliwie marszałek. — Spokojnie chwili usiedzieć jej trudno.

Coście z tym posłańcem zrobili? kto on taki?—zapytał Kmita.

— Dworzanin starego pana, Dudycz, stary też.

Marszczył się Kmita.

— Dać go było na folwark gdzie, aby mnie tu nie podpatrywał. Pyski mają rozpuszczone sługi królewskie.

— Schowałem go do kąta, zmęczony jest — dodał Biały — nie macie się miłość wasza co troszczyć o to. Rad że spocznie.

— A list królowej?—kwaśno zapytał na pół podnosząc się Kmita.

— Mówił, mi, że go do własnych tylko rąk miłości waszej zdać może—odezwał się Biały.

Wiadomość o przybyciu Dudycza, która ochotę przerwała, nie w smak była marszałkowi. Twarz jego przybrała wyraz posępny i prawie gniewny.

Chciał już odchodzić Biały, gdy się zwrócił ku niemu.

— Mówiłeś z tym posłańcem?—spytał—nie przywiózł on jakiej wiadomości?

— E! nic tam pewnie nowego nie ma—rzekł Biały—oprócz tego co nam wiadomo, że małżeństwo młodego pana postanowione, i że stara królowa się niem gryzie.

— Hę!—krzyknął Kmita — ona się gryzie? powiedz lepiej, że zagryzie młodą tę owieczkę, gdy ją tylko szponami swemi dosiądz potrafi. Oh! dostać się w ręce Bonie...

I rozśmiał się dziko.

— Kumelski jej nie zrówna! — dodał, spoglądając ku podpartemu nieopodal wystrojonemu młodzieńcowi.

Ten skromną przybrał postawę.

Przymusowa cisza, trwająca około stołu, gwałtowne to zamknięcie ust wszystkim, powiało jakimś chłodem po biesiadnikach i odbiło się nim na Kmicie, któremu ta przerwa dała się czuć dotkliwie.

— Katby ją porwał tę starą babę—zawołał—z jej listem i posłańcem... nie daje mi spocząć tu nawet i zażyć uciechy, jaka mi należy.

Nieuszanowanie, z jakiem się odzywał o królowej Kmita, choć był jej sługą i liczył się do zaprzedanych zwolenników, zdumiało bardzo Dudycza. Zdało mu się niepojętem takie lekceważenie tej potęgi—osłupiał.

— Zabawną komedyę będziem mieli na dworze—począł Kmita głośno—dwie królowe! Stara jak szatan zła, jak on zazdrosna, z trzosem nabitym, z Gamratem i całem wojskiem sług i służek z jednej strony; z drugiej stary król zmęczony i młoda dzierlatka, obca tu, nieoswojona... a po której stronie stanie młody król August, hej! któż to zgadnie?

Śmiał się Kmita.

— Hm—dodał—my żołnierze, a gdzie wojna się toczy, choćby między babami, zawsze się coś upiecze dla wojska...

Gdy to mówił Kmita, wrzawa, która była ustała, w drugim końcu stołu na nowo się powoli wszczynaała, a że biesiadnicy wszyscy nietrzeźwi byli, wkrótce rosnąć i wzmagać się jęła tak, że Dudycz reszty słów Kmity dosłyszeć nie mógł.

Dolatywały go tylko nadzwyczaj zuchwałe wykrzyki przeciwko Bonie i Włochom i wyśmiewanie się ze starego króla, które go zgorszyło wielce.

Cóż to się dziać musiało gdzieindziej, gdy tu na dworze przyjaznego Bonie pana, który stronę jej trzymał jawnie, tak sobie pozwalano?

Dudyczowi, przypatrującemu się biesiadnemu stołowi jeść i pić się odechciało, o spoczynku, którego tak pragnął, zapomniał. Prawda, że o ścianę od tych burzliwych biesiadników sen był trudny.

Krzyki ich, tupanie, bicie kułakami o stoły, szczęk naczyń, padających mis i dzbanów, tłuczonych kubków i szklanic, śpiewy dzikie, śmiechy do ryczenia podobne, zlewały się w jeden chór szatański, który uszom Kmity wcale się nie zdawał dolegać. Nie bronił swoim przyjaciołom tak się tu znajdować jak im się zachciało. Dopiero gdy do bójki przyszło na dobre, występowali rozjemcy i gwałtem rozrywali pobitych, bo nigdy zawczasu nie zapobieżono porywającym się do siebie.

Noc była późna bardzo, gdy naostatek stojącemu u szpary Dudyczowi nogi się poczęły uginać, i musiał rzucić się na przygotowane mu posłanie. Była to garść słomy, siana i skóra wytarta niedźwiedzia.

Znużony, wylękły legł Petrek, nie zapomniawszy pacierza, gdyż nie bardzo się tu czuł bezpiecznym i Bożej opiece chciał się polecić.

Położył się myśląc, że mimo hałasu ze zmęczenia zasnąć potrafi, ale czy ono nie było jeszcze tak wielkie, czy wrzawa zbyt okrutna, oczu zamknąć nie mógł, kleiły mu się stokroć do snu, ale natychmiast łomot jakiś lub krzyk przerażający budził, a gdy naostatku drzemać za-

czął, dostał jakby gorączki, i zdawało mu się, że go zbójcy napadają, a on bronić się im musi. Rzucał się i krzyczał też w niebogłosy, ale nikt go szczęściem posłyszeć nie mógł.

Przez całą noc do białego dnia trwało to ucztowanie szalone, i Kmity głos towarzyszył mu do końca. Zwolna wreszcie uciszać się zaczęło, Petrek zasnął.

Gdy sie obudził, zobaczył nad sobą stojącego Białego z palcem na ustach.

— Wstawaj a żywo—rzekł do niego — odziej się, bo przyjdę po ciebie abym do pana zaprowadził.

Pacholę Dudycza stało już z wodą, ręcznikiem i wodę miało przygotowaną. Zerwał się więc poseł co żywo i, nie tracąc czasu, ubierać się począł w co miał najlepszego.

W sali obok, która wczoraj noc całą trzęsła się od wrzasków, panowała cisza grobowa. Dudycz zajrzał przez szparę, stała pustą, a na stołach walały się niezebrane cząstki wieczerzy. Mroczno wyglądała i brudno.

Zaledwie czas miał wdziać na siebie strój włoski, list królowej w jedwabną chustkę zawinąć i włożyć za suknię, gdy Biały wszedł.

Dziś tu i on i wszystko wyglądało do wczorajszego dnia wcale niepodobnie. We dworze panował spokój, cisza, a nawet pewien porządek.

Biały wyprowadził gościa drugiemi drzwiami w podwórze, na którem obóz był rozłożony; nic tu nie było rozpasanego, po za wrotami chodziły straże. W pośrodku na drągu wysokim powiewała chorągiew Kmitów ze Śreniawą.

Marszałka mieszkanie było w drugiem skrzydle rozległego dworu. Tu u drzwi, oprócz straży zbrojnej, w barwie bogatej stali dworzanie i urzędnicy możnego pana, utrzymujący karność. Co wczoraj dokazywali u stołów, dziś tu chodzili wytrzeźwieni, jak inni ludzie, ledwie śmiejąc pocichu szeptać do siebie.

Przeszedłszy sieni pełne służby, dostał się Dudycz do antykamery, w której co dostojniejsi byli zebrani dworzanie. poubierani wytwornie, z twarzami blademi, ale poważnemi i surowemi.

Kazano czekać Dudyczowi, na którego oczy wszystkich się zwróciły. Dopiero gdy ze drzwi, zapuszczonych kobiercem, wyszedł jakiś dorodny mężczyzna w sukni księżej, marszałek skinął na Petrka i drzwi mu kazał otworzyć.

W izbie, bogato przystrojonej, stał za stołem z papierami Kmita, jakby inny człowiek; postawa pańska, duma na czole, powaga wielka, ani go było poznać.

Dudycz się tak zdumiał, iż języka w gębie zapomniał i dwakroć musiał się do niego odezwać marszałek, nim zebrał się na odpowiedź. Dobył chustę z listem i papier wręczył Kmicie, który z uszanowaniem wielkiem wziąwszy go w ręce, spytał tonem łagodnym:

— Jakże się ma Miłość Jej, królowa nasza? Jak król stary? Nic złego mi, spodziewam się, nie przynosicie?

— Sądzę, że nie ma ani złego, ani zbyt nowego nic—odparł Dudycz — ale królowa JM. radaby wiedzieć zawsze o tych, których liczy do przyjaciół swoich.

Spojrzał, Kmita skłonił głową. Zwolna rozwarł list i poszedł z nim do okna.

Petrek śledził go oczyma, usiłując odgadnąć co pismo zawierało; ale twarz Kmity to tylko zawsze okazywała co chciała, i dowiedzieć się z niej tajemnicy trudno było. Czytał list zmarszczywszy brwi, powoli, parę razy z ukosa popatrzył na Dudycza, powrócił do pisma, zatopił się w niem zanowu, zamyślił. Nie ruszył się od okna, choć widocznem było, że list skończył czytać dawno.

Zadumany potem przeszedł się po komnacie, jakby nie wiedział jeszcze co pocznie. Nie było mu pisanie

to zbyt miłem, tego zdawał się módz dorozumiewać Dudycz.

Zbliżył się wreszcie ku stojącemu u drzwi.

— Masz waszmość kogo znajomego na moim dworze?—spytał Kmita.

— Kilku, między innymi i Biały mi zdawna z Krakowa znany.

— To dobrze — przerwał, nie dając dokończyć Kmita.—Niechże on waść tu przyjmuje i ugaszcza, bo ja mam na głowie spraw wiele, ważnych, pilnych, a to, co królowa życzy sobie bym jej doniósł, trzeba wprzódy zbadać. Potrzebuję czasu na to. Czekać musisz.

Dudyczowi się chłodno zrobiło.

— A! gdyby wasza miłość raczyła mnie nie wstrzymywać—zawołał—bardzo mi pilno z powrotem.

Bystro spojrzał mu w oczy Kmita i zmarszczył się.

— Aleś waszeć sługą królowej i nie o was tu idzie, ale o jej sprawę—zawołał.—Czy wam pilno czy nie, to mi wszystko, zaprawdę, jedno. Gdy mówię, że się zatrzymać potrzeba, niema odpowiedzi.

Dudycz zamilkł.

— Prosiłbym miłość waszą—odezwał się po chwili milczenia—przynajmniej o tę łaskę, abym wiedzieć mógł, jak długo to czekanie potrwać może?

Kmita się zżymnął.

— Ciekawym jesteś do zbytku — odrzekł dumnie i kwaśno. — Ja sam nie wiem, jak długo to trwać może. Nie jesteście tu z woli własnej i nie rozporządzacie sobą.

Zbladł Dudycz, z człowiekiem tym nawet się rozmówić było trudno. Zląkł się nieco, obawiał się go więcej zniechęcić. Czekał już tylko odprawy.

Kmita przeszedłszy się po izbie, klasnął w dłonie. Weszło pacholę.

Nie mówił nic do Dudycza, a nawet nie patrzył na niego. Po małym przestanku wtoczył się na swych krzywych nogach Biały.

Kmita wskazał mu Dudycza.

— Jest to posłaniec królowej JMci, który tu ma oczekiwać na odpowiedź moją, a ta nierychło być może daną. Znasz go, jak powiada, weźże w opiekę. Proszę, aby mu na niczem nie zbywało, rozumiesz?

Masz z sobą ludzi?—zapytał.

— Pięciu—rzekł z dumą Dudycz.

Kmita ramionami ruszył.

— Ludziom i jemu nie ma zbywać na niczem — mówił do Białego Kmita—ale bez mojej wiadomości nie ma się ztąd oddalać.

Widzę—dodał—że mu się bardzo czekać nie chce.

— Ale gdy wasza miłość rozkazuje — przerwał Dudycz.

Kmita dał znak jakiś Białemu.

— Umieśćże go, karm i pój i niech czeka... niech czeka!

To mówiąc rozśmiał się marszałek dziwnie, przypatrując się szyderczo Petrkowi, który, jak zawsze, w swym stroju jaskrawym włoskim dosyć pociesznie wyglądał.

Skłonił się Dudycz pokornie.

Wyszli razem z Białym nic nie mówiąc aż w podwórze. Po namyśle krótkim opiekun poprowadził posła do dworku o kilkanaście kroków odległego.

— Nasz pan w liście coś musiał niedobrego wyczytać—rzekł Biały.

— Najgorsze to, że ja tu siedzieć muszę—zawołał Dudycz—bo mnie pilno do Krakowa. Mówiłem o tem panu...

— Toś niedobrze zrobił—przerwał Biały — bo on na przekorę czynić lubi. Będzie was naumyślnie trzymał.

Załamał ręce Dudycz.

— Ale za to—rzekł śmiejąc się Biały i klepiąc po ramieniu gościa—mogę wam zaręczyć, że głodu ni pragnienia nie doznacie.

Nie wiem czy was do stołu wzywać będą, rozumie

się do marszałka dworu, bo Kmita pospolitego czasu sam jada, lub tylko z równymi sobie... no, ale ja w tem, że nie poskarżycie się na nas.

— A wy tu długo siedzieć myślicie?—zapytał Dudycz, któremu nowe mieszkanie wskazywał Biały.

— Było się spytać Kmity — śmiał się krzywonogi — byłby ci tak odpowiedział, jak na pierwsze pytanie. Możemy tu siedzieć pół roku, albo wyruszyć nagle wieczorem.

Nie było już co pytać więcej. Dudycz rzucił się na ławę i rzeczy swoje znosić kazał do izby. Zdało mu się, że go w niewolę wzięto.

Do stołu dworzan Kmity dnia tego nie powołano go, ale obesłano wszystkiem, czego mógł potrzebować w obfitości.

Zjadłszy, Dudycz z rozpaczy spać się położył, a że wczorajszą noc spędził w gorączce i bezsenności, teraz mu się sen tak udał, że noc była, gdy się przebudził na wieczerzę.

Nikt tu do niego nie zajrzał, nawet Biały.

Na zapytanie, co się działo we dworze, ludzie mu odpowiedzieć nie mogli. Wysłano jakiś oddział zbrojny, Kmita siedział zamknięty.

Z biesiadowania nocnego, jakby ono marzeniem jakiemś było, nie pozostało teraz nic, ani wspomnienia, ni śladu. Nikt się nie ważył mówić o niem.

Pomiędzy dworem, strażą, ludźmi panował znowu rygor i porządek największy.

Dla Dudycza, który nie miał się do kogo przyczepić, a prawdę rzekłszy, nie śmiał, pobyt dłuższy zapowiadał się bardzo ciężkim.

Nie wiedział co robić z sobą.

Wyjść się lękał, aby nie pomyślano, że podpatrywał i szpiegował, coby pana Kmitę rozgniewać mogło.

Biały nie zjawił się aż nazajutrz rano.

Znalazł Dudycza milczącym i przybitym.

— Wyspałeś się? — zapytał.

— Cóżem miał robić?

— Najedz się teraz — śmiał się Biały — a gdy nie stanie zajęcia, pij. Co wolisz? Miód jest dobry, piwo niczego, wino nie pochwalę się.

Dudycz wzdychał. Biały, już zapewne wtajemniczony przez Kmitę, uśmiechał się. Zawadyaka, do wybitej doskonały, bo się niczego i nikogo nie uląkł nigdy, tajemnicy żadnej ukrywać nie umiał.

Popatrzył na zbiedzonego, milczącego Dudycza.

— Powiedz mi — odezwał się nagle — co ty królowej przewiniłeś, że cię tu za karę wysłała do nas?

— Jakto, za karę? — obruszył się Dudycz — ale ja u miłościwej pani mam wielką łaskę.

Biały począł się śmiać, spoglądając z politowaniem na towarzysza.

— Tak ci się nieboraku zdaje — odezwał się. — Kto tę Włoszkę zrozumie i spenetruje. To djabeł jest nie kobieta. Uśmiecha ci się, a — tu się w piersi ogromną pięścią uderzył — ja powiadam tyś coś przeskrobał.

Dudycz aż się z ławy pochwycił.

— Zkądże tobie to przyszło? — krzyknął.

— Tego nie pytaj—rzekł Biały—tylko powiadam ci, porachuj się dobrze z sumieniem.

Zamyślił się Dudycz głęboko.

— Nie może to być — odparł — gdybym nawet chciał, czemże ja, mały człeczyna, mogłem tej miłościwej pani, która u nas wszystkiem trzęsie, zawadzić albo się narazić. Naostatek ja jej łaski potrzebuję, służę jej... nie... to być nie może!

Biały walczył z wielką chętką wygadania się.

— Nie zdradzisz mnie? — szepnął.

Petrek palce na palce założył i krzyż z nich zrobiony pocałował.

— No, to ci powiem — szepnął Biały — że w liście do marszałka stoi nic więcej nad to, aby ciebie starał się

jak najdłużej zatrzymać przy sobie, nie dając ci odpowiedzi.

Zbladł słuchając biedny Dudycz, bo rozkaz ten nie mógł mu się w ciasnej głowie pomieścić. Nie pojmował, co mogło tę banicyę spowodować.

Siadł zrozpaczony na ławie.

— Źle ci u nas nie będzie — dodał Biały — Kmita swoim czasem poskąpi obroku, ale obcym nigdy, bo chce wielkim panem być w oczach ludzi. Tylko się tu zamęczysz... no, i kto wiedzieć może, nuż przyjdzie do jakiej rozprawy, i guza gotóweś oberwać.

Nie odpowiadał Dudycz, tak był w sobie zatopiony, Biały, który przez okno zobaczył w podwórzu jakiś nieład, nie żegnając go wybiegł. Został tedy z ciężkiemi myślami sam na sam.

Niepodobna mu się było dorozumieć co znaczyło postępowanie królowej, bo że ono było w związku z Dżemmą, tego się wcale nie domyślał.

Pozostać tu długo było dla niego męczarnią niewysłowioną, właśnie z powodu Włoszki, której oblężenie podarkami rozpoczął.

Narozmyślawszy się długo, postanowił w końcu do kogoś list napisać do Krakowa, prosząc o ratunek, ale nie umiał wymyśleć komuby się mógł powierzyć.

Nierychło dopiero przyszedł na pamięć pan kasztelan biecki Boner, bo wyrozumował, że kiedy królowa chciała go mieć daleko, to może właśnie dla króla dobrzeby było, gdyby się znajdował blizko?

Napisanie listu myślą było szczęśliwą, bo jeden z pięciu ludzi, co mu towarzyszyli, mógł go zawieźć cichaczem do Krakowa; szło tylko o to, jak list napisać.

Dudycz nie odebrał żadnego prawie wychowania. Wprawdzie przypominał sobie, że chodził do szkółki w Wieliczce przy kościele, nauczył się tu czytać drukowane, a co do pisania, do tego nie mając zdolności, później dopiero, gdy rachunki trzymać musiał, nauczył się

sam gryzmolić naśladując litery drukowane. List więc jego, sam on czuł, wiele musiał zostawiać do życzenia, aby posłużyć się na tym dworze kimkolwiekbądź, nie było bezpiecznie. Westchnął na to, że nie przewidział, jak się pisanina w życiu na wiele przydać mogła.

Następnych dni nie było co robić. Biały, chociaż nie zapominał o gościu, nadto był zajęty, ażeby przy nim godzinami siedział. Najadłszy się, napiwszy, wyspawszy, dowiedziawszy do koni, pogawędziwszy ze starszym sługą, Dudycz zostawał sam i nie miał co innego do czynienia, oprócz, że na ławie siadłszy, w podwórze patrzył.

Ta zaś część jego, którą miał przed oczyma, zbyt urozmaiconego nie dawała widoku. Przeprowadzano tędy konie do wodopoju, przenoszono siano i obroki do stajen, szli parobcy, przeciągali żołnierze, a pod wieczór wiatr zamiatał rozsypane i siano i śmiecie, lub resztki suchego śniegu, który już pruszyć zaczynał.

Biały niewymowny, prawie codzień jedno powtarzał przyszedłszy.

— Najadłeś się?

— A jakże.

— Napiłeś?

— Dziękuję.

— Połóż-że się spać, bo więcej do roboty nie masz nic.

Nierychło bardzo Dudycz wpadł dopiero na myśl, że może miłość jego dla pięknej Włoszki, wygnania tego mogła być przyczyną.

— Ochmistrzyni mnie zdradziła! — mówił sobie.

We dwa tygodnie dopiero ruszył się Kmita nazad do Wiśnicza, a z jego dworem i ów niewolnik, o którego odprawieniu do Krakowa mowy nawet nie było.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

MUZEUM JIK w ROMANOWIE 299